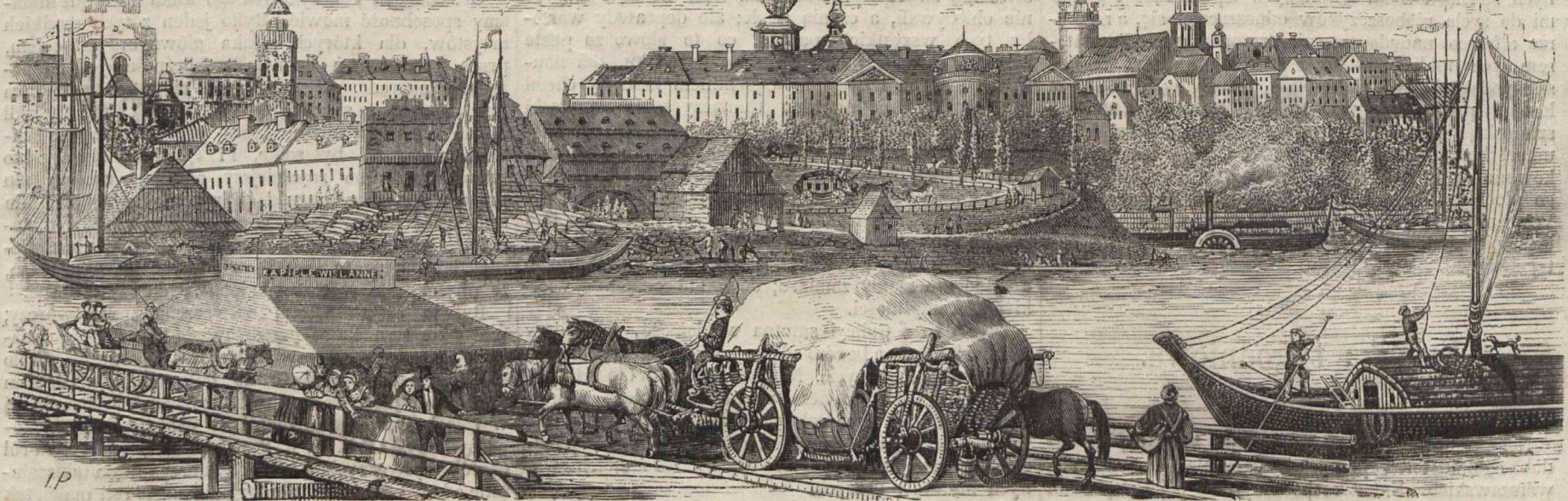


TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 72.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 28 stycznia 1861.
9 lutego
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Nagrobek Andrzeja Krasieńskiego w Krasnem (z drzeworytu).— Kronika tygodniowa.— Kościół i fabryka sukna w Opatówku (z drzeworytu).— Most stały na Wiśle pod Warszawą (z dwoma drzeworytami).— Wiek przeszły i teraźniejszy (z czterema drzeworytami).— Szachy.— Rebus.— Nigdy (ciąg dalszy).— Kronika sztuk pięknych.— Doniesienia.

chodzący z nią dostojnicy świeccy, a nawet obcy zupełnie panowie. Tym sposobem zakrystya kościoła w Krasnem posiada drogie zabytki sztuki złotniczej i rzeźby. Ze wszystkich atoli najważniejsze są tu pomniki grobowe, których ilość jest znaczna, a każdy mniej więcej wspaniały.

Pomiędzy istniejącymi wewnątrz kościoła odznaczają się szczególnie: nagrobek Jana Krasieńskiego, stolnika ciechanowskiego, i żony jego Katarzyny z Mrokwskich, przez Jana Krasieńskiego, kantora krakowskiego, wnuka tychże, z marmuru czerwonego wystawiony, wyobrażający w osobnych niszach popiersia męża i nie-

wiasty, w ubraniu starożytnym. Drugi Andrzeja Krasieńskiego, syna powyższego Jana i żony jego Katarzyny z Czernie Czernickiej, przez tegoż samego księdza Krasieńskiego rodzicom jeszcze za ich życia w r. 1581, częścią z kamienia pińczowskiego, częścią z szarego marmuru wzniesiony. Ten właśnie przedstawia załączony drzeworyt. Jest on w kształcie ołtarza, dzieli się zaś na dwie części, a obejmuje w połowie górnej rycerza w zbroi na poduszce spoczywającego, w połowie dolnej leżącą niewiastę w staroświeckim stroju. Nad obiema połowami wyrzeźbione są na marmurowych tablicach łacińskie napisy.

Na wierzchu tego nagrobka unosi się w osobnej tarczy herb Słepowron, z górkami A. K.

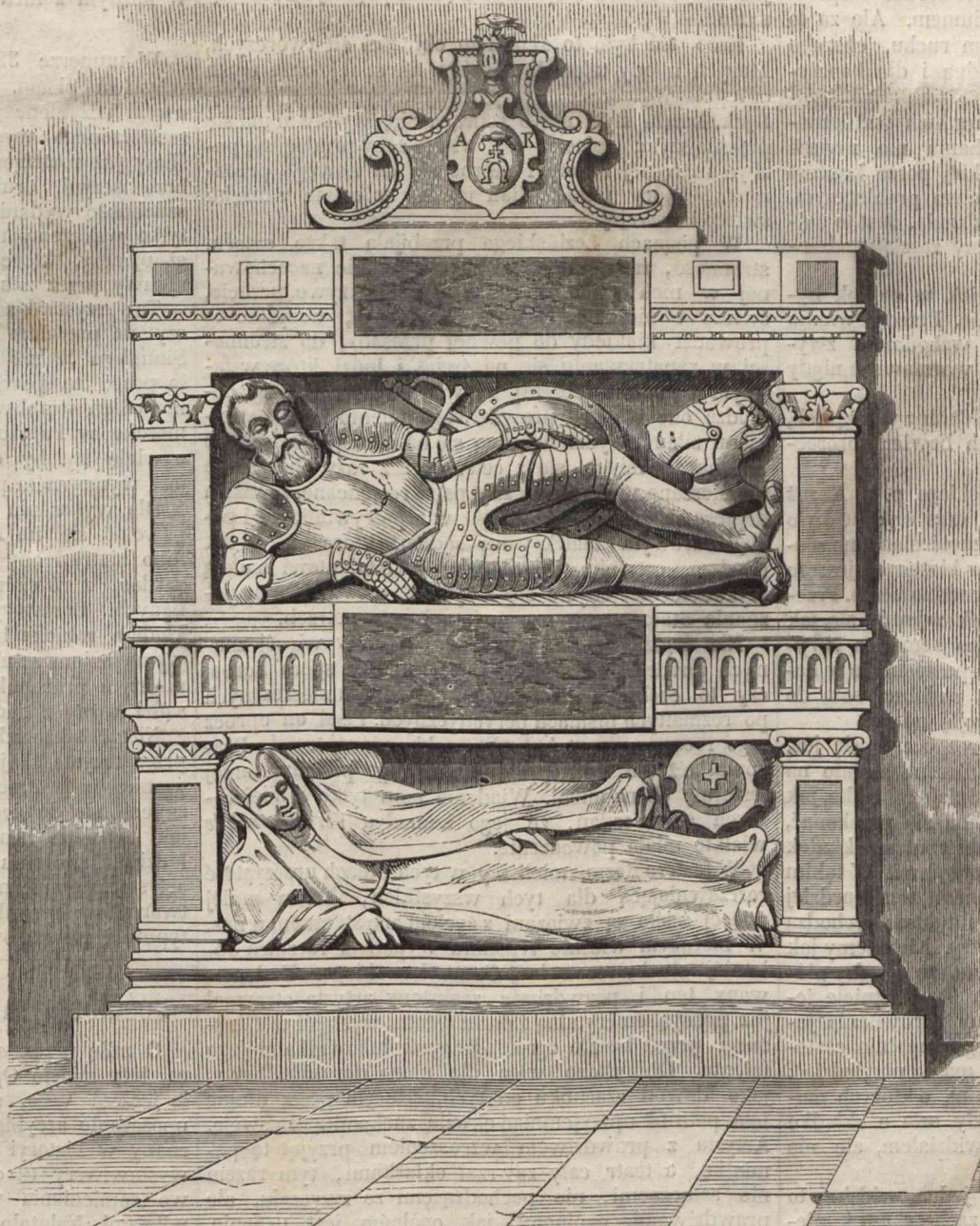
Andrzej Krasieński, sędzia ciechanowski, którego nagrobek z pomiędzy innych wybrałmy, był trzecim synem Jana, stolnika ciechanowskiego, sam w rzeczypospolitej, jak pisze Paprocki, znacznie zasłużony, gdyż na dwudziestu sejmach posłem był, a nadto jest protoplastą dziś żyjących Krasieńskich. Z żony, na tymże nagrobku wyobrażonej, miał trzech synów; z tych wyżej wspomniany Jan, kantor krakowski, scholastyk klecki, gnieźnieński, łowicki kanonik i sekretarz króla Stefana, był mężem wielkiej nauki i autorem pomiędzy innemi Opisu Polski, po łacinie w roku 1573 z druku wydany, który mamy po polsku przez Budzińskiego w roku 1852 tłumaczony. Drugi zaś, najmniejszy z synów, Stanisław, wojewoda płocki, zmarł w roku 1601, zostawił dziesięciu synów i pięć córek. Z tak licznej rodziny, pięciu synów zmarło bezpotomnie, pięciu zaś pozosta-

NAGROBEK ANDRZEJA KRASIEŃSKIEGO W KRASNEM.

Wieś Krasne, w powiecie przasnyskim, gubernii płockiej położona, jest odwiecznym gniazdem znakomitego rodu Krasieńskich, herbu Słepowron, w których ręku od niepamiętnych czasów dotąd zostaje. Tę większą zaś nabiera znaczenia, iż posiada starożytny kościół parafialny, będący prawdziwym panteonem tej rodziny. Tu bowiem nie tylko zwłoki wielu osób z tej rodziny spoczywają, ale nadto liczne po ścianach napisy, przypominają żywoty cenniejszych z niej pochodzących mężów.

Kościół wmurował w r. 1575 Franciszek Krasieński, biskup krakowski, w miejscu dawniejszego drewnianego, jeszcze w XIII wieku przez niejakiego Warcisława de Krasne założonego. Rozszerzył go Jan Kazimierz Krasieński, podskarbi w koronny, przez przymurowanie dzisiejszego presbiterium, pod którym grób jego się znajduje, a później Błażej Krasieński całkiem, mianowicie wewnątrz, przeistoczył i ołtarze dawne usunął, dając w ich miejsce niezłym pędzlem wykonane freski, po największej części stacye meki Pańskiej wyobrażające. Wprawdzie w późniejszych przerabianach tej świątyni nie zawsze radono się dobrego smaku, a nawet okazałe, i należy do piękniejszych budowli w kraju.

Sławnym jest także skarbiec tułtejszy, który do najzamożniejszych liczoną być może. Zaopatrywali go bowiem bogatymi darami liczni pralcy rodziny Krasieńskich i po-



POMNIK ANDRZEJA KRASIEŃSKIEGO W KRASNEM. (Rys. J. Lewicki, ryt. w drzew. Tygodnika.)

ych dało początek osobnym liniom tegoż domu. Wszyscy oni prawie mają w kościele krasnieńskim pomniki, aż do znanego w ostatnich dziejach krajowych Adama Krasieńskiego, biskupa kamienieckiego, któremu wspinały w naturalnej wielkości posąg z marmuru kararyjskiego wystawił w roku 1843 generał hrabia Wincenty Krasieński.

Dla innych członków rodziny znajdują się osobne tablice, z panegirycznymi napisami, które są w różnych stronach ścian kościelnych wpuszczone i godłami do życia nieboszczyków odnoszącymi się, a na murze alfresco namalowanymi, przyozdobione. Fundatorem tych tablic jest tenże sam Jan Kazimierz Krasieński, podskarbi wielki koronny, zmarły w r. 1668, co kościół przebudowywał, tudzież Jan Błażej starosta sztumski i przasnyski, pan ogromnego majątku, który umarł bezdzietnie około r. 1750. Odpisy ich wydrukowane są w drugim tomiku Pamiętnika historycznego plockiego, przy historii kościoła w Krasnem przez Wincenego Hipolita Gawareckiego, gdzie ciekawy czytelnik znajdzie obszerniejsze szczegóły dotyczące się tej świątyni.

Kronika tygodniowa.

Nosy opuchłe, oczy czerwone, usta kaszlące, oto widok ogólnie teraz przedstawiający się na chodnikach warszawskich. Katar rozpanoszył się pomiędzy nami na dobre, oddawna on bowiem czyha jak zbójca na przesmyku pomiędzy uchodzącym mrozem, a nastającą słotną porą i napada na przechodniów, których uda mu się napotkać.

— Gustowałbym bardzo w życiu, gdyby nie katar, mawiał zwykle bajkopisarz Lafontaine; on stał się zapamiętałym moim wrogiem od dzieciństwa i przez połowę najmniej życia odjął mi poczucie piękności natury, które mnie otaczały.

Wprawdzie obecnie, jeżeli tylko na stratę poczucia piękności natury mamy być przez katar narażeni, to jeszcze niewielka szkoda. Piękności te bardzo nieprzyjaczny teraz przyodzialszy się kostiumem. Ale za to przy wzmagającym się koncertowym ruchu, choroba ta staje się nieraz bardzo niedogodną i dla koncertantów, i dla słuchaczy. Wiadomo że publiczność zakatarzona jest najgroźniejszą ze wszystkich publiczności. Akompaniament kaszlu i kichania nie zawsze sprawia dobry efekt, i jeżeli w takiej porze koncert się powiedzie, będzie to już kamieniem probierczym, że posiada wszelkie warunki powodzenia. Jest to największa pochwała jaką oddać możemy zesłotygodniowym koncertom.

W obu teatrach miały miejsce, jak to co rok bywa, przedstawienia na Dobroczynność. Przedstawienia te jako dochód niejako już stały wchodzić w zwykły budżet ubogich, a publiczność warszawska nigdy w takich razach nie zawiedzie.

O nowościach które mają być odegrane w teatrach, nie śmiemy mówić, w takich razach bowiem prorocтва zwykle bywają zawodne.

Podobno opera Gabryela Rożnieckiego p. t. *Krzyż wojkowy*, o której przez pewien czas słyhać było że ją ujrzymy, zostaje stanowczo przeniesioną na scenę paryską i w teatrze lirycznym w bieżącym jeszcze roku ma się odbyć pierwsze jej przedstawienie. Przeobrażeniem libretta na francuzki język zajmuje się, jak nas upewniano, znany literat którego komedia *Afrykanin* w zeszłym roku wielkie miała powodzenie w Paryżu. Gabryel Rożniecki udaje się podobno sam do Paryża, dla dopilnowania nauki swojej opery.

Kursa w Instytucie muzycznym rozpoczęły się już, chociaż urzędowe otwarcie jego odłożone zostało na później. Rezultat dotychczas zadowalniający, tylko, jak z ogłoszeń dyrektora Instytutu można się przekonać, nie wszyscy jeszcze trudniący się zbieraniem składek przesyłali swoje rachunki wraz z pieniędzmi. W takim razie opóźnienie zawsze jest nagannem, tém bardziej gdy wiadomo, że przetrzymywane fundusze wchodzi już niejako w rachunek ogólnej cyfry. Nie wiemy jak tam rzeczy stoją bliżej, ale to pewna, że między piórem które podpisuje, a ręką która liczy, istnieje jeszcze bardzo długi most, że użyjemy porównania jakiegoś świętego Augustyna do czego innego zupełnie zastosować. Są ludzie, o których datkach można powiedzieć: „wierzę, choć nie widziałem;“ są inni, o których można się odezwać jak Wolter, kiedy szło o składkę przez znanego skapca uiszczoną: „widziałem, ale nie wierzę.“

A że słowo a czyn, to nie zawsze jedno, widzimy to po rozprzedaży akcyj Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Słyszeliśmy na własne uszy takich, którzy się

odgrązali: „Niechno tylko Towarzystwo będzie zaświadczane, wezmę dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto akcyj.“ Zanotowaliśmy sobie te wyrazy i nazwiska tych co je wyrzekli, i ciekawość nas wzięła dowiedzieć się jak też oni stawili się na słowie, kiedy rzecz już zaczęła wchodzić w wykonanie. Pokazało się że obietnica do spełnienia, ma się jak dziesięć do jednego. Ten co miał wziąć dwadzieścia akcyj, wziął ich dwie, ten co pięćdziesiąt, wziął pięć, i tak dalej. Towarzystwo nie straci wprawdzie na tém, bo są i tacy co nie obiecywali, a czynią wiele; ale doprawdy warto by tych wszystkich panów, co to słowo za puste brzmienie uważają, wymienić po nazwisku, dla nauki ich samych i drugih. Opiekunem każdyby chciał być, lecz dziwnie niejedni tłumaczy sobie obowiązki tej opieki.

Nie chcemy bynajmniej do instytucyj tego rodzaju przesadzonej przywiązywać ważności; ale *per angustam ad augustam*, a ci którzy tutaj potrafią okazać widoczny skutek swoich dobrych chęci, dadzą już tém samém miarę że na nich rachować można. W każdym razie nie godzi się przechwalać z tego, czego uczynić nie mamy zamiaru; dowód to conajmniej wielkiej lekkomyślności.

Doszła tu z Galicji smutna wiadomość, że Walery Łoziński, młody a bardzo zdolny powieściopisarz, w tych dniach zakończył życie. Nie mała to strata dla piśmiennictwa, z dzieł bowiem Łozińskiego które znamy, wielkie można było rokować nadzieje na przyszłość. Od pewnego czasu wszedł on był na drogę dziennikarską, tak jak to uczyniło wielu bardzo utalentowanych literatów naszych.

U nas Łoziński nie był jeszcze tak znany i ceniony, jak na to zasługiwał. Powieści Łozińskiego odznaczają się właśnie tém, co u nas w utworach tego rodzaju, dotychczas przynajmniej, najtrudniejszym było do osiągnięcia, to jest dobrze utrzymanym interesem i barwnością wielką. Charaktery jego zwykle dobrze były obmyślane, ale niezawsze równo przeprowadzane; posiadał on przytém wadę, którą właściwie można wadą młodości nazwać, że zwykle nie dotrzymywał do końca. Zdawało się że plan powieści na wielką utworzoną skalę, ale w połowie roboty dzieło zaczynało już nużyć autora i spieszył się czempredziej ku rozwiązaniu.

Może też było to skutkiem obfitości sił twórczych, których młody talent Łozińskiego nie miał jeszcze czasu ani pola wyczerpać. Nowy pomysł uśmiechał mu się, i jak każda myśl nowo rodząca się, wydawał mu się piękniejszym; spieszył się więc, żeby przedź się pozbyć natrętniej roboty i zabrać się do nowego przedmiotu, który jaśniał dlań jeszcze w całym wdzięku świeżości swojej.

W pismach Łozińskiego przebiegała także czasem stronność, może skutkiem zbyt wyraźnie nacechowanej w nich tendencji. Młody wiek, żywe uczucie, świeża i niezużyta jeszcze imaginacja, wszystko to prowadzi niekiedy do pewnej przesady, do stronności w zapatrywaniu się na świat i ludzi, które w żadnym razie nie możemy nazwać nagannymi, bo dowodzą one właśnie prawdziwego talentu i życia wielkimi siłami wydzierającego się na zewnątrz, ale które częstokroć mijają się z celem przez razy zbyt silnie wymierzone, przez płamy zbyt pstró rozrzucone. Z czasem dopiero przychodzi trzeźwość w zapatrywaniu się i pogląd zdrowym miarkowany sądem, które są, że tak powiem, ostatnim werniksem, jaki talentowi nadają wykształcenie, obycie się z życiem, oraz dokładne poznanie otaczającego nas świata i jego potrzeb.

Nie będziemy tu wymieniać tytułów więcej znanych powieści Łozińskiego; jest ich już spora liczba, czy to osobno drukowanych, czy też umieszczanych po rozmaitych pismach periodycznych. Pisał on oprócz tego recenzje i artykuły literackie różnej treści. Pracował też dla teatru, ale z temi jego pracami mniej jesteśmy obznajmieni. Wiadomo nam tylko z miejscowych sprawozdań, że jego komedia *Verbum nobile* wielkie miała powodzenie.

W teatrze Rozm. mieliśmy w tych dniach uroczystość rozrzucającą dla tych wszystkich, którzy mniej więcej ściśle są związani z życiem artystycznym u nas. W bieżącym właśnie tygodniu wypadała rocznica 35-letniej służby teatralnej Panczykowskiego. Utalentowany ten i prawdziwie zasłużony artysta otrzymał już pensyja emerytalną i poraz ostatni wystąpił w *Okreźnem* przed licznymi zgromadzonymi lubownikami jego talentu. Obmyślono więc dla niego dar składkowy, jako dowód szacunku od tych, którym przez długie lata potrafił uprzyjemniać chwilę znakomitą grą swoją. Artysta z prawdziwym wzruszeniem przyjął tę pamiątkę, a teatr cały zawrzał oklaskami, tym razem nie sztucznymi, nie pochodzącymi ze zwyczaju, ale prawdziwymi, ogólnymi, jak ogólnem jest uznanie, które Panczykowski potrafił sobie zjednać u publi-

czności, patrzącą na różnorodną, a tak zawsze doskonałą wybitną i nacechowaną prawdą objawy jego talentu. Już przedtem Panczykowski otrzymał od artystów teatru i towarzyszy prac swoich dar również z serca pochodzący, bo każdy z bliżej z nim złączonych i pilnie przypatrujących się jego zawodowi czuł do brze, iż mógł on być dla wielu, bardzo wielu z nich pięknym wzorem, nie tylko jako artysta, ale jeszcze jako człowiek.

O zasługach Panczykowskiego kilka razy już mieliśmy sposobność mówić. Był to jeden z tych rzadkich artystów, dla których sztuka głównym jest celem, praca potrzebą, a uznanie publiczności jedyną pożądaną nagrodą. Nie gonił on nigdy za pokątnem wyzyskiwaniem swojego talentu i zasług swoich, szedł prosto i śmiało drogą którą przy rozpoczęciu zawodu naznaczył był sobie, nie oglądając się czy kto szczęśliwszy albo zreczniejszy od niego zabrała mu przynależne plony nagród. I powoli, wytrwale, nie cofając się nigdy, stanął w pierwszym rzędzie, a stanął tak silnie, tyle miejsca zając i zapewnić umiał niezmordowaną pracą i umiejętnie wyrobionym talentem, że ubytek jego w teatrze niełatwo da się zastąpić.

Był to artysta więcej odtwarzający, niż twórczy; wszystkie typy które przedstawiał brane były z natury, a naśladowane z drobiazgową wiernością. Mało komu danem jest dojść do tej prawdy, a przytém barwności, jaką Panczykowski posiadał. Szczególniej w rolach starych domowników polskich był on nieporównany. Ale któż wyliczy owo mnóstwo innych ról charakterystycznych, w których Panczykowski tak zasłużone odnosił tryumfy? Nie było dla niego roli małej, tak zwanej drugorzędnej, każdą on chętnie przyjmował i w każdej potrafił znaleźć się na pierwszym miejscu. A przez tak długi ciąg karyery, nie okazał Panczykowski żadnego kaprysu, żadnej fantazyi, żadnego z owych wyskoków, co to zmuszają do odkładania sztuk najwięcej ulubionych przez publiczność i poświadczających dla sceny.

Pancykowski w tych dniach wyjeżdża do Krakowa i Lwowa, żeby tam dać się poznać publiczności; potem zaś, jak słyszeliśmy, ma zamiar zwidzieć niektóre znaczniejsze prowincjonalne teatry, występując w każdym z nich po kolei.

W numerze 33 Gazety Codziennej, redaktor główny tego pisma, w artykule wstępnym, odpowiada na uwagi uczynione w ostatniej kronice naszej względem zamierzonego wydania Pamiętników Paska. Nie myślimy już roztrząsać pytania, czy pan Kraszewski dobrze uczyni, drukując dzieło to za granicą i czyli ozdobność wydania wiele na tém zyska; mimochodem tylko wskażemy na dwa przykłady, jeden dodatni, drugi ujemny, które wybornie zastosować się dają do sprawy przez nas rozbieganej.

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych, przeznaczwszy na premium dla swych członków kopią obrazu Simmlera *Śmierć Barbary Radziwiłłówny*, postanowiło pracę tę powierzyć krajowemu artyście, chociaż nie ulega wątpliwości, że litografia wykonana u Lemercier w Paryżu, lub u Hanfstängla w Monachium, o wiele byłaby doskonalszą. Czyż przykład ten nie jest wymownem poparciem bronionej przez nas zasady?

Dla wykazania strony odwrotnej, dosyć tu będzie powołać się na *Podróż do Włoch* Józefa Kremera, lubo nie trudnoby nam było przytoczyć wiele innych wydań, z równem niepowodzeniem zagranicą dokonanych. Drzeworyty do tego dzieła z wielkim nakładem robione były w Lipsku, a czy odpowiadają wymaganiom sztuki, czy nawet wyrównywały staranniejszym pracom krajowym tego rodzaju, o tém niech sędzi każdy z naocznego przekonania.

Nieraz także zdarzało się, że rysunek najstaranniej przez artystę krajowca wykonany, po odrobieniu zagranicą bądź drzeworytu, bądź sztychu lub litografii, zmienił się do niepoznania pod względem charakteru, jak to widzieliśmy na Album Wilczyńskiego i t. p. I dziwić się temu nie można; najdoskonalszy bowiem artysta zagraniczny nie potrafi wiernie zachować odtwarzanego rysunku, jeżeli nie zna dokładnie natury, typów i zwyczajów miejscowych.

KOŚCIÓŁ I FABRYKA SUKNA W OPATÓWKU.

O milę przeszło od Kalisza, nad rzeką Pokrzywnicą, leży miasto Opatówek, które do XIV stulecia było jeszcze wsią, składającą z innemi dobrami uposażenie arcybiskupów gnieźnieńskich. Jeden z nich, znany w historii Jarosław ze Skotnik herbu Bogorya, wystawiwszy tu około r. 1360 zamek, otrzymał prawo zamienienia wsi na miasto i obdarzył je przywilejami. Należało ono ciągle aż do końca 18 wieku do tychże arcybiskupów.

kości 8 do 9 stóp w koryto rzeki, górna zaś na wysokich kozłach. W miarę posuwania się roboty, rusztowania przenoszone były z jednego otworu na drugi i wyciągano pale, tak iż kiedy kończyło się wiązanie jednego przęsła, przygotowane już było rusztowanie pod następne. Ponumerowane i pocechowane wszystkie części kratownicy i rozebrane z platformy, następnie przewiezione po kolejach, składały się powtórnie, zabijając w nie kolki, łącząc śrubami i dopełniając wiązania poprzeczne na opisanych rusztowaniach.

Dla złożenia kratownicy na platformie, z wywierceniem przeszło 600 dziur na kolki i śruby, potrzeba było czasu dni letnich trzy, dla ustawienia zaś całego przęsła z trzech tak przygotowanych kratownic, z robotą wszystkich innych wiązań i ułożeniem pomostu, takichże dni 9. Dwunaste przęsło, to jest pierwsze od Warszawy, składa się również z trzech kratownic, związanych z cienkich desek, które w pasach mają $1\frac{1}{4}$ cala grubości, szerokości 12 cali, w krzyżownicach zaś $1\frac{1}{4}$ cala grubości, 10 cali szerokości. Ramy ściskające pasy i krzyżownice, dane w odległościach 7 stóp ang., mają grubości 5 cali, szer. 8 cali, u których spodu pod pasami dolnymi przymocowane na wcięciach śrubami podciagi z bali grubości 4 cali, szerokości 12 cali, służą do zawieszenia pomostu, równającego się z pomostem przesił poprzedzających. Dla wzmocnienia pasów górnych, wystawionych na zgniecenie, które złożone z cienkich desek na przestrzeni 7 stóp między ściskającymi je ramami, łatwo mogłyby uległy wyginaniu, dodano po każdej ich stronie beleczki grubości 5 cali, szerokości 6 cali, które wraz z pasami połączone śrubami.

Bale poprzeczne, łączące ramy u góry i rozparte ukośnymi balami między kratownicami, służą tak do związania całości, jakoteż do oporu przeciw działaniu wiatrów. Pasy z krzyżownicami, jak również krzyżownice pomiędzy sobą, wraz z obejmującymi je ramami, połączone są, podobnie jak w poprzedzających przęsłach, toczonemi dębowymi kolkami, 2 cale grubości w średnicy; prócz tego ramy, przy zetknięciu się z pasami, połączone są z nimi śrubami.

System ten, złożony z cienkich desek z pojedynczymi krzyżownicami, często przecinającymi się pod 45 stopniem, odróżniając się od innych, może być nazwany *deskowym*. Wysokość kratownicy, od spodu pasa dolnego do wierzchu górnego, wynosi stóp ang. 46. Kratownice tego przęsła, ważące nie więcej jak po 240 centnarów, gdy waga poprzednich przesił przeszło dwa razy tyle wynosi, ustawione zostały w sposób odmienny i daleko prędszy. Na zbudowaniem rusztowania na niskich palach, podniesionem do potrzebnej wysokości i załaniem podłogą, służącą zarazem za platformę, każdą kratownicę złożono w zupełną całość, wraz z ramami, zabiciem wszystkich kołków i połączeniem śrubami. Złożoną i związaną w ten sposób, przysunięto końcami do miejsc na których miała się oprzeć na filarach i podniesiono pięcioma windami, równo rozstawionymi po całej długości za pomocą lin przywiązanych do pasa górnego, przechodzących przez bloki umocowane na wysokich kozłach. Spodnia krawędź dolnego pasa, oparta w dwóch końcach na filarach, służyła tym sposobem za oś obrotu. Złożenie kratownicy na rusztowaniu, z powodu cienkości materiału, a ztąd łatwości przenoszenia i mniejszej długości dziur, trwało średnio $2\frac{1}{2}$ dnia, postawienie zaś na miejscu windami nie więcej jak godzin 2, przy poprzednim podniesieniu pasa górnego za pomocą samych drągów i klinów na 4 stóp nad platformę.

Moc kratownicy mostu tymczasowego, względnie do jego przeznaczenia, obliczoną została na taki tylko opór, jaki przedstawiać powinno przęsło, prócz ciężaru własnego, przeciw ciężarom mogącym przechodzić po jego kolejach. Do najcięższych materiałów i przyrządów należą ciosy granitowe w izbicach filarowych, wagi około 200 centnarów, i niektóre pierścienie cylindrowe, wagi przeszło 400 centnarów. Dodając do tego ciężar wagonów i kilkudziesięciu ludzi potrzebnych do ciągnięcia, przypuszczam największe ciśnienie przechodowe na jedną kolej blisko 600 centnarów. Robione doświadczenia przy przewożeniu największych cylindrowych pierścieni, okazały moc tę najzupełniej dostateczną, nie dostrzeżono bowiem żadnego ruchu w najdrobniejszych szczegółach wiązań, strzałka zaś kratownicy zmniejszała się niewiele jak $\frac{3}{8}$ do $\frac{5}{8}$ cali ang., przychodząc do pierwotnego położenia po zejściu ciężarów ze środka.

Ponieważ most czasowy wygórany jest nad obwałowanym, zabezpieczonym od praktykowanych załewów placem składowym dla wszelkich materiałów i przyrządów, przeszło stóp 17, aby więc ciężary z dogodnością na most wprowadzonymi być mogły, zbudowano na palach również pochyłą, ze spadkiem $\frac{1}{20}$,

czyli że 17-stopowa spadistość drogi dana została na 340-stopowej rozwiniętej długości. Na zbudowanej tak równi pochyłej, podobnie jak i na moście, istnieją dwie linie kolei żelaznych, łączące się z siecią kolei przeprowadzonych w różne strony placu.

Wciąganie wagonów z ciężarami po równi pochyłej, dokonywa się siłą pary. W tym celu zaprowadzono windę z dwoma bębniemi, biorącą ruch od lokomobili 9-konnej, ustawioną na ziemi pod równią, przez którą przewinięto odpowiednio łańcuch bez końca i takowy przeprowadzono między obu liniami kolei, dla zmniejszenia tarcia wspierając go na blokach stale do równi przymocowanych.

Skoro wagon u podnoża równi stojący przyczepiony zostanie do łańcucha między koleją umieszczonego, tenże siłą pary w ruch wprowadzony, wciąga na górę wagon, który po zatrzymaniu windy odczepiony, następnie na most siłą kilku ludzi po poziomie z dogodnością przeprowadzić się daje.

Doświadczenie przekonano, że wagon naładowany najcięższym pierścieniem cylindrowym, przeszło 400 centnarów wazącym, w ciągu pięciu minut siłą pary na most wyprowadzony został, gdy do téjże samej pracy potrzebowano poprzednio przeszło 80 ludzi.

Z kolei przychodzi mi opisać wierzchnią żelazną część budującego się pod Warszawą mostu stałego. Zanim to jednak uczynię, przedewszystkiem skreślę postępowe rozwijanie się konstrukcji mostów żelaznych.

Pierwotnie budowano mosty żelazne na łukach złożonych z części lanych, łączonych z sobą w podobny sposób, jak w mostach łukowych drewnianych. Pierwszy tego rodzaju most zbudowano w Anglii w r. 1779 pod Coalbrookdale przez Sawernę, otworu 100 stóp. W r. 1793 niedaleko od Coalbrookdale zbudowano podobny most, trzymający światła 130 stóp.

Następnie system budowy łuków zmieniono, składając takowe z małych zworników sklepieniowych. Według planu Wilsona pod Wearmouth postawiono téj konstrukcji most łukowy, światła 236 stóp.

W 1797 roku Jan Nash w Londynie otrzymał patent na budowę innego systemu mostów żelaznych, w których łuki są złożone z wielkich żelaznych lanych płyt, stosownie między sobą umocowanych. Systemu tego Rennie użył w moście na Tamizie w Londynie, o trzech otworach, z których środkowy, największy, trzyma światła 240 stóp.

Pierwszy żelazny we Francji zbudowany został most Luwru w Paryżu przez Cessart'a i Dillon'a, o dziewięciu otworach, po $56\frac{3}{4}$ stóp światła trzymających. W każdym otworze znajduje się pięć zeber czyli łuków, rozstawionych między sobą co 7,9 stóp; każdy tworzy linią krzywą, wygiętą na 10,6 stóp, o prostokątnym przecięciu, i składa się z dwóch sztuk, które w wierzchołku do wspólnej płyty zamykającej czyli kluczowej przylegają.

Lamandé od roku 1800—1806 wybudował most Austerlitz w Paryżu. Most ten jest o pięciu otworach, każdy światła 106 stóp, strzałki 10,6 stóp. Pięć zeber albo łuków, oddalonych między sobą na 7,2 stóp, składa się z 21 pojedynczych zworników, na 5,2 stóp długich.

Jednocześnie Bruyère w r. 1808 w St. Denis zbudował pierwszy most z żelaza kutego, światła 38 stóp ang., w r. zaś 1810 użycie téj konstrukcji dla mostu o otworze 426 stóp na Sekwanie w Paryżu zaprojektował, lecz budowa jego nie przyszła do skutku.

W roku 1836 Polonceau zbudował most Karuzeli w Paryżu. Inżynier ten złożył łuk z części rur o eliptycznym przecięciu i tę osiągnął korzyść, iż znaczną posiadały moc boczną, przez co liczba poprzecznych połączeń mogła być zmniejszoną.

Wszystkie większe mosty we Francji, tak na drogach bitych, jako i pod kolejami żelaznemi, zbudowane zostały według systemu inżyniera Polonceau.

W Niemczech budowa mostów rurowych zaraz wprowadzoną została w użycie. Już w r. 1811 Reichenbach ogłosił swoją teorią mostów żelaznych rurowych. Dla większych otworów chciał Reichenbach przyjąć dwie współśrodkowe rury, łącząc je z sobą krótkimi ramionami w kierunku promieni.

W Petersburgu na Newie inżynier Kierbedź od 1842 do 1852 r. zbudował most na łukach żelaznych lanych, własnego pomysłu, bardzo śmiałej konstrukcji, lekkością swą wspinały przedstawiający widok, o osmiu otworach, z mostem zwodowym, siłą czterech ludzi z szybkością roztwieranym. Największy otwór dochodzi około 156 stóp światła.

Z postępowaniem czasu zwrócono uwagę na konstrukcję amerykańskich mostów Tauna, z drzewa budowanych, a znalazłszy materiał ten zbyt krótkotrwałym, pierwsi Angliacy zastosowali użycie do konstrukcji kratowych mostów blachy żelaznej, i w r. 1845 zbudowany został most kratowy żelazny pod Dublinem, trzymający

światła 140 stóp. Konstrukcja ta w Niemczech zaraz znalazła zastosowanie. Jakoż wkrótce potem pod Offenburem zbudowany został most kratowy, trzymający światła 196 stóp. Ponieważ zwyczajne blaszane, jakoteż i kratowe belki mają tę niedogodność, że ich opór przeciw bocznemu wygięciu, w stosunku do ich siły unoszącej, jest za mały, i przez zwiększenie łączników poprzecznych musiano zdobywać stopień bocznej mocy; ażeby więc belka blaszana swoim poprzecznym kształtem należytą sztywność przedstawiała, Robert Stephenson, inżynier angielski, przedsięwziął zbudować ją w sposobie rur i wybrał kształt prostokątny, lub też trapezowy. Gdy belki te, według pomysłu Stephensona, wyrabiane były przez posiadacza fabryki machin Fairbairna, i ten ostatni znacznie ich konstrukcją ulepszył, przeto mosty te skrzynkowe znane są pod imieniem Fairbairna.

Jeden z największych mostów skrzynkowych, zbudowany przez rzekę Trent, posiada dwa otwory, każdy po 154 stóp angielskich.

Robert Stephenson zbudował trzy wielkie mosty konstrukcji rzecznej: pierwszy przez cieśninę Menai, dzielącą Anglię od Irlandyi, zwany także mostem Britania, drugi pod Conway, trzeci na rzece św. Wawrzyńca, zwany mostem Wiktoryi.

Dojście do tak znakomitej konstrukcji mostu, spowodowały następujące okoliczności:

Zauważano, że most zbudowany przez Telforta w r. 1826, konstrukcji łańcuchowej, przedstawiał tę wielką niedogodność, iż wagony przezeń kołmi tylko przeciągane być mogły. Zapobiegając niedogodności téj, kompania kolei żelaznej postanowiła wybudować inny most przez odnogę Menai, i w tym celu wybrała miejsce najwęższe, gdzie znajdowała się w pośrodku odnogi skalista wyspa, mogąca służyć za podstawę środkowemu filarowi.

Stephenson zrobił najprzód projekt mostu łukowego, o otworach 360 stóp światła trzymających; lecz ten nie mógł być zbudowanym, z powodu że nie odpowiadał głównemu warunkowi admiralicy, której wymaganiem było, aby światło otworu mostowego z obu stron wyspy miało po $\frac{1}{2}$ 450 stóp szerokości, wysokości zaś stóp 105.

Następnie Stephenson wpadł na myśl, aby kolej położoną na łańcuchowym moście tak umocnić, iżby szybko przebiegające pociągi bez zbytniego zachwiania się utrzymać mogła. Projektował więc użyć wielką, żelazną, prostokątną rurę, mogącą pomieścić w swym wnętrzu pociąg, wspartą na murowanych podporach i zawieszoną na łańcuchach. Od téj myśli wszakże odstąpił, przenosząc nad nią użycie rury z eliptycznym przecięciem, któraaby największy przedstawiała opór przeciwko wiatrom. W końcu jednak dojrzałe badania skłoniły go znowu do zastosowania rur prostokątnych.

Pierwszy ten pomysł w r. 1845 zyskał w parlamencie łaskawe przyjęcie; szło tylko o oznaczenie wymiarów pojedynczych części konstrukcji. Posiadacz fabryki Fairbairne podjął się poczynić doświadczenia z materiałem do tego mostu użyć się mającym, a p. Hodgkinson, jako teoretyk, miał wysledzić spójność mocy.

Doświadczenia robione z rurami okrągłymi, eliptycznymi i prostokątnymi wskazały, że dęta belka sama w sobie posiada dosyć siły unoszącej i nie potrzebuje łańcuchów do podparcia.

Tak więc most Britania składają dwie rury z blachy żelaznej, po 1524 stóp długie, o prostokątnym przecięciu, wewnątrz których poprowadzone są dwie linie kolei żelaznych, wsparte na dwóch przyczółkach i trzech filarach. Światło dwóch środkowych otworów dane jest po 460 stóp, dwa zaś zewnętrzne trzymają po 230 stóp. Rury dla wielkich otworów zbudowane zostały na brzegu, następnie spławione na statkach i siłą pras hydraulicznych ustawione na filarach; brzegowe zaś rury składane były na miejscu, na stosowanych rusztowaniach.

Szerokość rur 14 stóp dochodzi, wysokość zaś zwiększa się od brzegu ku środkowi od 23 do 30 stóp w taki sposób, że linia wierzchu mostu przedstawia parabolę. Po zbudowaniu mostu, dla próby, obciążano rurę 27 wagonami, węglem naładowanemi, ciężaru całkowitego blisko 6200 centnarów, w skutku czego rura na największym otworze w pośrodku swęj długości opuściła się zaledwie na 0,676 cala, zwykle zaś pociągi sprawiły tylko 0,2 do 0,3 cala opuszczenia, i rura wracała do pierwotnego położenia, po usunięciu ciężarów.

Most rurowy Wiktoryi na rzece św. Wawrzyńca, o pojedynczej kolei, zbudowany przez inżyniera Rossa, pod głównym kierunkiem Roberta Stephensona, jest największy ze wszystkich zbudowanych dotąd mostów. Posiada on długości między dwoma przyczółkami (Obacz Dodatek.)

WIEK PRZESZŁY I WIEK TERAŹNIEJSZY.



GOSPODYNI DAWNA.

Będzie cześćnik, krupnik lubi
Na półgasku; zdejm półgasek
Z pod pułapu. Język zgubi,
Jak na ząbek weźmie kasek.
Dam barszcz także, a z uszkami,
Szczupak z chrzanem, karp' do sosu,
Naleśniki z poziomkami
I zwierzynę do bigosu.
Będzie wojski, ten indyka
Chętnie jada, dam z podlewą.

Bież Agatko do kurnika
Najtłustszego zabij!—Jewo!
Bierz bakalie ze spiżarni!
Hm... małdrzyki do śmietany....
Na piecyste cąber sarni...
Niech Jan toczy miód we dzbany!
Wszystko w domu, Bogu chwała,
Niema poco ślać do miasta,
Choć wczas zjadą, to rzecz mała,
Obiad wydám punkt dwunasta.



GOSPODYNI TERAŹNIEJSZA.

Hrabia Prot zaszczyci nas,
Drób' nad wszystko ceni on.
Dasz cotelettes de foie gras
I blanquette de dindon.
A dla radczy niechaj Jan
Coś z zwierzyny zrobi mnie;
Ot, galantine de faisán,
Filets de chevreuil sautés.
Hrabianka ma znów gust ten,
Że jé z cukrem chaque pièce.

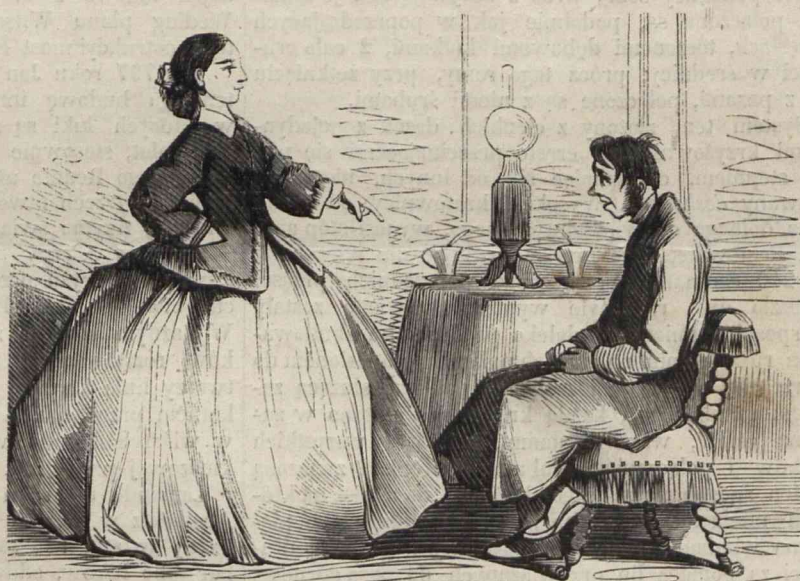
Dasz compote de bon-chrétien
I crème à la religieuse.
Baron rybom palmę da,
Trudna sprawa. Ha, enfin
Zrobić soles sur le plat
I do tego perches au vin.
Zresztą proszę nie nudź mię,
Oto pieniądz, wszak Jan zna
Gdzie co kupić — a spiesz się,
Obiad na siódmą być ma.



WIEK PRZESZŁY.

Mąż do żony:

Czy kto słyszał? tfu! amory!
Taki młokos! o dla Boga!
Psuć mi chłopca: „chory... chory...”
A tu panie tedy droga.



WIEK TERAŹNIEJSZY.

Żona do męża:

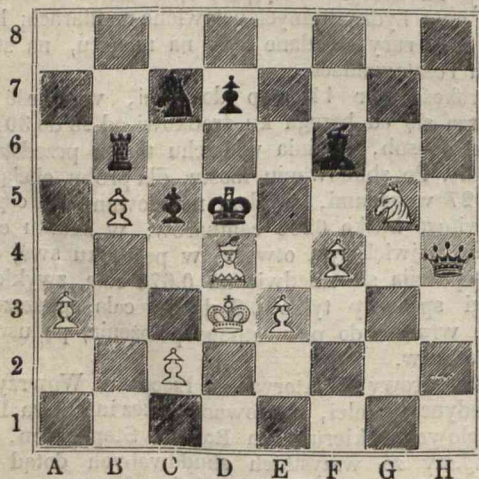
Ja chcę!.... Wszak Jaś do téj pory
Miał czas zdobyć rozum zdrowy,
Od twych gderań wciąż mi chory,
Już mu dłużej nie susz głowy.

SZACHY.

ZADANIE L.

Białe zaczynają i dają matę za trzecim posunięciem.

Białe.



Czarne.

Toć ja panie z pod prefekta
Ledwie wyszedł z szkolnej
[łaźnie,
Do wojszczanki nuż w afekt;
A tu matka: „A ty błaznie!”
Wdową była, świeć jéj Panie,
Lecz *hic mulier*. Dażem sobie,
Pięćdziesiątka na dywanie,
Nie zapomnę, chyba w grobie.
Wstydz się jejmość, do téj
[pory
Kryć przedemną te psie figle!
Jeszcze prawi: „chory... cho-
[ry...”
W spichrzu zamknę na dwa
[rygle.
Krew gorąca, w myśli psota,
Więc niech hasa na koniku,
Niech postrzela wszystkie
[wrota,
Lecz od dziewczek.... wara smy-
[ku!

Cóż dziwnego że się kocha?
Lat szesnaście, wiek miłości,
I ja przecie byłem płocho.
Biorąc na kark jegomości.
Jaś ma rozum, i nad lata,
Umié wodzić rej w salonie,
A że czasem figle płata,
Toż to słabość w dobrym to-
[nie.
Wciąż mu skąpisz. Wszak pie-
[niędzy
Potrzebuje, żyjąc w mieście.
A więc duszko, daj mi przedzój,
Daj dla Jasia złotych dwie-
[ście.
Wiedzą w mieście kto go ro-
[dzi,
Więc niech robi to co zachce,
Niech się kocha, niechaj zwo-
[dzi.
Franiu dawaj przedzój!.... ja
chcę!
W. L. Ancezy.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 49.

Białe.

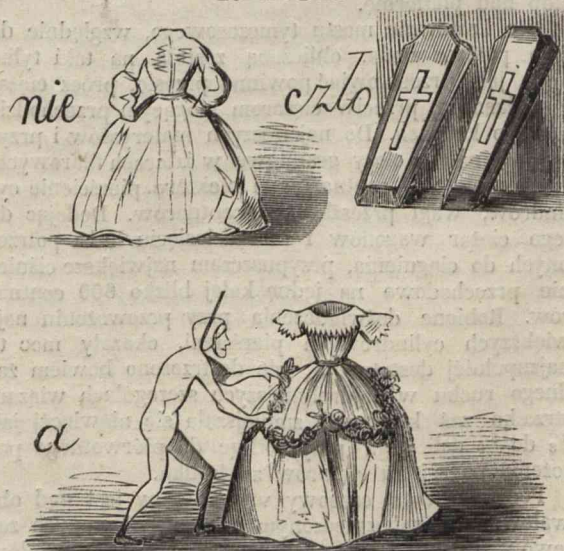
- 1) D2 — D4+
- 2) B4 — E7+
- 3) E3 — F5+ i mat.

Gdyby czarne sunęły królem na E4, to białe su-
wają B4 na B1, następnie biorą laufra i mat.

Czarne.

- 1) E5 — E6
- 2) E6 — E7 biorą.

REBUS.



Rozwiązanie rebusa umieszczonego w Nrze 71.

Gdzie cienko, tam się rwie.

(Dodatek.)

kami 7997 stóp angielskich, czyli wiorst 2,28, o 25 otworach, z których 24 trzymają światła po 242 stóp, środkowy zaś otwór wynosi stóp 356. Kolej na środku mostu wyniesiona jest na 59 stóp nad średni stan wód. Całkowity ciężar użytego żelaza wynosi około 260,000 centnarów, a jego koszt przenoszą 15 milionów rsr. Most ten w roku 1854 rozpoczęty, w roku 1860 zupełnie skończony został.

W ciągu trwania budowy mostu Britania, inżynierowie prowadzący roboty, Hodgkinson i Clark, poczyniwszy liczne i ściśle doświadczenia z żelazem, spowodowali, że konstrukcja żelaznych mostów amerykańskiego systemu zaczęła być stosowaną na wielkie otwory. W ostatnich więc latach w Europie zbudowano kilka znakomitych mostów konstrukcji amerykańskiej Tauna, mianowicie na Wiśle pod Tczewem, w Anglii na rzece Boyne pod Drogheda, na rzece Ludze w cesarstwie rosyjskiem, dwa mosty na Renie, pod Kolonią i pod Kehl i t. p.

Według tego to systemu zbudowany będzie również most na Wiśle pod Warszawą, wielkością swą przenoszący prawie wszystkie wspomniane kratowe mosty, wyjąwszy tylko pod Czerwem, który o wiele jest dłuższym od warszawskiego.

Na pięciu więc filarach i dwóch przyczółkach, rozstawionych między sobą na 260 stóp angielskich, położoną zostanie żelazna klatka mostowa, trzymająca całkowitą długości stóp 1560, rozdzielona na trzy części w taki sposób, że na dwóch brzegowych przyczółkach i na filarach drugim i czwartym, spoczywać będzie w siodłach żelaznych łanych, wałkami opatrzonych, dla ułatwienia ruchu spowodowanego w skutek zmiany temperatury.

Każda z tych części, pokrywająca dwa otwory mostu stałego, złożoną będzie z dwóch klatek symetrycznie do siebie podobnych, stale złączonych na filarach 1, 3 i 5; dla dania przeto wyobrażenia o konstrukcji wierzchniej żelaznej części mostowej, dosyć będzie opisać klatkę mostową, nakrywającą jeden otwór długości 260 stóp.

Każda z dwóch ścian mostu składa się z podwójnej kratownicy jednostajnej konstrukcji, rozstawionej między sobą w odległości 30½ cali.

W skład kratownicy wchodzi krzyżowane pod 45 stopniem sztaby z wałcowanego kutego żelaza, zwane inaczej krzyżownicami, grubości ¾ cala, szerokości zaś od 4 do 18½ cali, względnie do ciśnienia jakie znosić mają, w końcach złączone na nity z blachą żelazną grubości półcalowej, szerokości 24 cali. Przekątnie otworów między krzyżownicami, uważając takowe środek od środka, wynosić będą 7 stóp 4 cal.

Aby spoić z sobą obie te kratownice, mające stanowić jedną ścianę mostu, do dolnej i górnej części tychże przytwierdzone będą pasy z blachy żelaznej, szerokości 48 cali, przy użyciu kątownego żelaza zgrubianego względnie do ciśnienia, które jaknajdokładniej rachunkiem obliczone zostały. Największa grubość wyniesie cali 3½, i w tych miejscach pasy złożone będą z siedmiu blach ściśle na płask przystających do siebie, przejętych nitami; najmniejsza zaś pół cala, dla której dostateczną będzie jedna tylko blacha. Pas górny, wystawiony na zgniecenie, dolny zaś na rozerwanie, uważając w kierunku podłużnym, cokolwiek odmiennym ulegają warunkom zgrubiania się.

Krzyżownice tak zwane gniotące obu kratownic, stanowiących jedną ścianę mostu, dla wzmocnienia między sobą, połączone zostaną kratą z cienkich żelaznych blach, od 2½ do 3½ cali szerokich, ¼ do ¾ cala grubych.

W powyższy sposób zbudowane dwie ściany mostu i rozstawione między sobą tak, aby przejazd wynosił szerokości stóp 34½, utrzymają wiązanie żelazne podpierające pomost. W tym celu dane będą w odległościach 7 stóp 4 cal poprzeczne żelazne belki, z blachy szerokiej od 24 do 48 cali, grubiej ¼ do 5/8 cala, umocnionej stosownie kątownym żelazem i pasami górnym i dolnym, szerokości cali 12¾, grubości około 5/8 cala. Belki te, wystając na zewnątrz dwóch ścian mostowych w kształcie kroksztynów, posłużą za oparcie chodnikom, z każdej strony po 8¼ stóp szerokości urządzić się mającym, zaopatrzonemu po krawędziach stosowną żelazną baryerką.

Aby zaś belki rzeczone usztywnić między sobą, to jest umocnić przeciw gięciu się, dane będą między nimi z cienkiej blachy żebra wysokości 15 cali, na których wreszcie w kierunku belek poprzecznych i pomiędzy temiż osadzone zostaną beleczki z kutego żelaza, kształtu podwójnej litery T, wysokie 6½ cala.

Na tak urządzonych poprzecznych belkach, rozstawionych między sobą na 28½ cali środek od środka, położony zostanie drewniany pokład z bali 4 cale grubych, a na ten dopiero dany będzie bruk drewniany kostkowy.

(Dodatek do Nru 72 Tyg. Ilustr.)

Nadto obie ściany mostowe u wierzchu rozsztywnione będą stosownym żelaznym wiązaniem i umocnione takimiż pasami, aby całkowita klatka mostowa zdolna była wytrzymać najgwałtowniejsze nawet burze.

Nity, względnie do potrzeby, użyte będą od ¾ do 1½ cala grubości w średnicy.

Wysokość klatki między górnym i dolnym pasem zostanie daną stóp 29 cali 8, a spodni pas wyniesiony będzie nad najwyższe wody przy brzegach stóp 34 cali 6¾, w środku zaś mostu stóp 37 cali 6¾, całkowita bowiem klatka mostowa zbudowana będzie w kierunku podłużnym, uważając według linii krzywej, posiadającej strzałkę wypukłości stóp 3.

Jednym z główniejszych przyrządów pomocniczych przy budowie mostu stałego na Wiśle używanych, jest kafar parowy, wynalazku angielskiego inżyniera Nasmytha, w Manchester zbudowany i w r. 1860 na początku wiosny do robót sprowadzony. W kafarze tym para, siłą 12 koni, porusza młot w ramie osadzony, który uderzając w pał 60 razy na minutę, sprawia szybkie tegoż zabicie do znacznej nawet głębokości. Ściana szpuntalowa w formie skrzyni pod drugi filar, z belek 12 cali w kwadrat grubych, ubita została tym kafarem, i przekonano się, że w ciągu 12 godzin roboczych, względnie do natrafianych przeszkód, od 7 do 12 sztuk szpuntali zdołano zabić na głębokość około 20 stóp, zatem można liczyć, że zabito średnio sztuk 9. W gruncie przedstawiającym lepsze warunki, możnaby zabić około 15 sztuk pali, co wielokrotnie praktykowało się przy budowie doków i bulwarów w Anglii.

Ponieważ kafar Nasmytha znaczną posiada ciężkość, która wielce utrudnia jego przesuwanie, jest przeto ustawiony na platformie w szyny opatrzonej, po której z łatwością stosownym mechanizmem siłą pary poprzecznie przesuwac się daje. Że zaś platforma odbywa ruchy podłużne po szynach ułożonych na rusztowaniach, kafar zatem o którym mowa z wielką szybkością na każdy punkt przeprowadzać się daje.

Aby dać wyobrażenie o skuteczności działań, ze względu na czas i koszt, poczwórnego rodzaju kafarów, jakoto: ręcznego, mechanicznego z windą do podnoszenia baby ludźmi, poruszanego lokomotywą parową, i wreszcie kafaru Nasmytha, przytoczę co następuje:

Jeden pał zabity kafarem ręcznym, z babą 20-centnarową, przy użyciu 60 ludzi, kosztuje średnio 28 rsr., potrzebując 12 godzin czasu.

Jeden pał zabity kafarem mechanicznym, kosztuje średnio 22 rsr., potrzebując 48 godzin czasu.

Jeden pał zabity lokomotywą, kosztuje 4½ rsr., potrzebując 6 godzin czasu. Wreszcie

Jeden pał zabity kafarem Nasmytha, kosztuje średnio 3½ rsr., potrzebując 1½ godziny czasu.

Z takowego stanu rzeczy pokazuje się, że ostatnie dwa sposoby bicia pali znakomicie wpływać mogą na pospieszne wykonywanie robót około mostu.

Do robienia zapraw i betonów zbudowany jest młyn, poruszany lokomotywą 16-konną. Na trzech talerzach żelaznych, użyciem kół zębatach w ruch wprowadzonych, ustawiono trzy pary kamieni młyńskimi zwanymi, każdy z nich około 20 centnarów wagi, rozbijające zaprawę złożoną z wapna, piasku i cementu. Zaprawa ta, należycie wyrobiona, dobytą z talerzy, wrzucona do bębna obracanego siłą pary łańcuchem bez końca, cokolwiek ukośnie pochylonego, i zmieszana tam ze stosowną ilością szabru lub żwiru, tworzy beton, w konstrukcjach hydraulicznych ważną odgrywającą rolę.

Ogólny koszt budowy tego mostu podany został na 2,577,700 rsr.

Do wykonania tego ważnego i kosztownego dzieła ustanowiony jest przy Namiestniku królestwa zarząd oddzielny pod nazwą: „Zarząd budowy mostu stałego na Wiśle w Warszawie,” którego skład jest następujący: naczelnik główny zarządu generał adjutant Kotzebue, inżynier główny kierujący częścią techniczną generał major Kierbedź. Komitet do zarządzeń administracyjnych i kontroli robót pod prezydencją radcy tajnego Łaszczyńskiego, inżynier konstruktor podpułkownik Smolikowski i pomocnik jego kapitan Chrzanowski, z potrzebną liczbą inżynierów i techników, z których starsi inżynierowie: Surzycki i Majewski prowadzą w miejscu roboty i szeregółową konstrukcję, inżynier machin Falkowski ma poruczoną zarząd magazynu i materyałów. Ustawa przez radę administracyjną w dniu 28 grudnia 1858 roku zatwierdzona, określa szeregółowo attribucye i obowiązki powyższego zarządu.

Główniejsze roboty budowy mostu, wraz z dostawą materyałów, oddane zostały w przedsiębiorstwa, mianowicie: zapuszczanie cylindrów i budowa wierzchniej żelaznej części kompanii Gouin z Paryża, ro-

boty kamieniarskie z piaskowca i granitu Beinowi, obywatelowi m. Warszawy, budowa zaś mostu tymczasowo wykonaną została administracyjnie.

Julian Majewski, inżynier.

N I G D Y.

(Dalszy ciąg.)

Przepraszamy za uciepioną rozprawę i wracamy, chętnie czy niechętnie, do przerwanej szczybotania.

— Ludwik mi mówił, że widział meble, które pan Konstanty sprowadza. Mają być drogie i niegustowne.

— Można się było tego spodziewać po guście jego.

— Już ty o guście pana Konstantego nie nie mów. Ja się godzę na jego gust przeszłoroczny.

— Już i do ciebie doszły te plotki?

— Alboż to plotka, że się starał o ciebie?

— Ja nic nie wiem o tém.

— Ale za to inni wiedzą. A o Stasiu... myślisz że nie wiedzą i nie mówią?

— Cóż na przykład mówią?

— Że lada dzień się oświadczy o ciebie.

— A więc się mylą, bo za tą bytnością w Warszawie oświadczył się o Laurę i został przyjęty.

— Nie może być! Zkąd wiesz?

— Od niego samego.

— Ja jeszcze wierzyć nie mogę.

— A ja najzupełniej wierzę i nie w tém dziwnego nie widzę.

— Ja się dziwię, ale i... cieszę się bardzo.

— Cieszysz się? przez przyjaźń dla Stasia, czy dla Laury?

— Przez przyjaźń dla ciebie.

— Tego nie rozumiem.

— A ja ci nie wytłumaczę.

I znów była chwila milczenia, którą znów pani Ludwikowa przerwała:

— Już ciemno, połącz robotę, siadaj tu przy mnie, mówiła tklawie, odgarniając swą suknię. Helenka złożyła starannie batyst, zrównała nici, przepięła igłę i usiadła obok przyjaciółki. Ta ją objęła, głowę złożyła na jej ramieniu i z uczuciem ścisnęła ją za rękę.

— Ja wiem jakiej ty miłości potrzebujesz, *je connais ton coeur, mon ange*. Ty mnie nie znasz jeszcze, nie wiesz jak jak ciebie kocham, jak znając niedorzeczność różnych moich względem ciebie marzeń, lękałam się wszystkiego, co by mnie naprawdę rozbudzić z nich mogło.

— Moja Zosiu, doprawdy że ja ciebie nie a nie nie rozumiem.

— A ja ci już powiedziałam więcej niżbym chciała, i ani słówka dalej sobie nie pozwolę. Za to ty, mój aniele, powiedz mi szczerze, ale szczerze zupełnie: *tu n'as pas aimé monsieur Stanislas, n'est-ce pas?* Widzisz, jakaś nieszczera, nie odpowiadasz mi, a ja cię jednak lepiej rozumiem, niż ty sama siebie. *Dans votre age, ma chère Hélène, il y a un tel surcroît de vie et de sentiment, qu'on risque* przelać je na najmniej godnego. *Tu pares des trésors de ta jeune imagination le premier venu*. Bierz się za miłość, pragnienie miłości. I tak możesz się oszukać nie tylko na drugich, ale na sobie, *en prenant des vagues desirs, pour du vrai sentiment*. A tymczasem, tłumacz to sobie jak chcesz, ja ci jeszcze raz powtórzę, że ja wiem jakiej miłości tyś warta, do jakiej twoje serce zdolne, i jeżeli ci kiedy powiem: Helenko, ty kochasz i jesteś kochaną! to niezawodnie nie omyli się serce moje.

To wierne powtórzenie spamiętanych, już gotowych frazesów, zakończyła pani Ludwikowa macierzyńskim na czoło Helenki pocałunkiem.

— Przejdźmy do fortepianu, wyrzekła po chwili, może mi zaakompaniujesz do śpiewu.

Jakoż przeszły, zapalono świece, a w połowie niedośpiewanego romansu zjawił się pan Henryk.

— Oh, *n'allez pas m'enlever votre soeur tout de suite*, z tklawem spojrzaniem wyrzekła pani Ludwikowa.

Pan Henryk wcale nie miał tego zamiaru, bo wieczór rozpoczynał się dopiero. Został więc na herbacie, grano, śpiewano, rozmawiano o Stasiu, o Laurze, o urzędzeniu domu pana Konstantego i o różnych, ale rzeczywiście tym tylko podobnych rzeczach. Pani Ludwikowa odegnęła nudy nie tylko na dziś, lecz jeszcze na zaklęcie ich w przyszłości spory zyskała zapas, zyskała cel na kilka przynajmniej miesięcy, a środki ku

temu celowi dostateczne na obecną chwilę dawały jej zatrudnienie. To też była promieniejąca, serdeczna, wylana. Powtarzała że ją Helenka pokrzepiła, uleczyła cudownie.

— Ale pan mi ją niedługo znów przywiezie, mówiła Henrykowi, czule mu na pożegnanie dziękując.

Dziękował i pan Ludwik, który zmęczony powróciwszy z pola, zdrzémnął się trochę przy muzyce, ale rozbudził przy kolacyi.

Odjechali nareszcie. W drodze Henryk po kilka razy pytał siostry, czy jej nie zimno. Helenka po kilka razy odpowiadała że nie, i to była cała brata z siostrą rozmowa.

Po ich odjeździe, pani Ludwikowa pisała jeszcze, a pisała do brata. O błogosławioną miłość rodzinną! Błogosławiony twój instynkt wielbiony, instynkt stokróć wyższy i doskonalszy u ludzi, jak u zwierząt! U zwierząt bowiem służy on jedynie do zabezpieczenia od głodu i zimna; u ludzi nadto wiedzie on do zabezpieczenia wygod, dostatków i życia bez troski.

IV.

Majówka.

Tymczasem Anna tęskniła, jak się zwykle tęskni w mieście na wiosnę. Tęskniła do drzew, powietrza, zieloności. Śmieszne są te sielskie gusta, doprawdy. Anna też może była śmieszna, ale tęskniła; a nawet gdybyśmy przywilejem, któryśmy sobie nadali, zjrzeli znowu do owego zeszytu chowanego w biurku, pod niedawną datą zapisane te dziwaczne trochę znaleźćlibyśmy słowa:

„Wyjechać z Warszawy dorożką za rogatki, dla ucieśnienia się wsią, jest to to samo, co do osoby ukończonej, z której duszą dusza nasza obcuje, wybrać się z ceremonialną wizytą. Widzenie się takie w czasie wymierzonym, w obecności wielu, podrażni tylko, zamiast nasycić serce, większą jeszcze rozbudzać tęsknotę do istotnego podziału uczuć, do przestawiania sam na sam i w każdej chwili. Czy patrząc z poziomu na rozkwitające drzewa i łąki, nie staną przed oczami duszy z tęskniejszym jeszcze urokiem owe wieczory i ranki, owe powaby tajemnicze, co w swobodnym tylko i dowolnym obcowaniu z naturą ocenione, pojęte być mogą!”

Ze Anna pragnęła zieloności, powietrza, to jeszcze i ciotka i ojciec jako tako rozumieli. Często też ojciec przejażdżkę za miasto proponował, a ciotka towarzyszyła. Ale że z takich przejażdżek Anna wracała smutniejsza jeszcze i jakby rozdrażniona, to już przechodziło ich pojęcie i szło na karb jej dziwactwa. Za to dziwactwo często spotykały ją wymówki, a ona zawsze milczeniem odpowiadała na nie.

Pierwszych dni maja Anna była trochę cierpiąca i mizerna. Ojciec z ciotką dla rozrywki ułożyli majówkę. Ciotka, której ulubionym było zdaniem że „trzeba drzwi otwierać fortunie,” spotkawszy pana Kaźmierzka w Saskim ogrodzie, wspomniła mu także o majówce. Anna o tém spotkaniu i zaproszeniu nie wiedziała, i gdy doganiający Kaźmirz koło św. Krzyża ich spotkał, roje niepokojących, choć radosnych uczuć znanym sobie manewrem „u drzwi duszy zatrzymała,” pomieszanie w jednej chwili zażegnała i powitała go ze spokojem i powagą.

Przyjemna to była majówka. Pan Kaźmirz, co wrażliwemu usposobieniu swemu zawsze swobodnie puszczał wodze, dziś właśnie pod wrażeniem wiosny, przechadzki, towarzystwa, swobodny był i wylany. W sercu Anny była uroczystość, którą każde jej słowo napiętnowane z serca wychodziło. Dobra i chwila złudzenia! Kiedyś Annie w chwili większej słabości wymknęła się mimowolna skarga:

Moja wiosna, to jak zima;
Słońca niema, kwiatów niema.

Rozradowała się więc słońca promykami i radośnie na wiązanek wspomnień zbierała kwiaty. Zapomniała że między zarzuconemi jej papierami była także ówiartka, którą prorocza kończyła strofka:

W polu i w lesie, na łące, przy zdroju,
Tęskno do burzy, tęskno do spokoju.
I zawsze tęskno i tęskno mi wszędzie,
Ża tém co było... za tém co nie będzie!..

W ciągu owych majówek po parę razy o mało, o mało co nie uwierzyła Anna że będzie; o mało co nie uwierzyła że wszystko wysokie, dobre, piękne, wszystko przez nią umiłowane, znajduje oddźwięk w drugiej duszy, jej na braterstwo święconej. Anna nie wiedziała jeszcze wtedy, że w sercach najciaśniejszych, że w umysłach najpospolitszych, że w duszach najleniwszych znajduje się czasem jakiś rodzaj amatorsztwa wrażliwości, któremu chętnie porywać się dają, i wielce w owych chwilach uniesienia smakują. Nie zobowiązują one jednak do żadnego dalszego ciągu, do żadnego związania chwili uniesienia, z chwilą pra-

cy. Przechodzą sobie bez śladu, samą różnością swoją od innych przyjemną w życiu *dywersją* stanowią. Anna jeszcze nie miała sądu na romansujących z ideałem prawdy: sama była jeszcze młoda, jeszcze odurzona trochę. Są dusze, które praca i boleść trzeźwi, bliskość i podobieństwo szczęścia upaja.

I czemu to tak rzadkie święta w życiu naszym, a dzień powszedni taki długi, nieskończony? Tyle jest trywialności w codziennym życiu naszym; praca przymusowa taka zabijająca i mechaniczna; znajomości powszednie takie czerze; rozmowy tak stereotypowo jednostajne; rozrywki takie nudne, że gdyby choć czasem się nie przenieść w inne sfery, to doprawdy uschnąćby można, albo w automata się zamienić.

— Więc pan życie tylko w oderwaniu od życia pojmuje?

— Że uciekam jaką mogę cząstką duszy od tych, jak powiadam, trywialności życia, do tego się przyznaje.

— A tymczasem mnie się zdaje że ta ucieczka, jak każda inna, jest grzechem i wstydem.

— Ciekawy byłbym, doprawdy, jak też pani sobie radzi. Bo niech mi wolno będzie powiedzieć, mam na to dowód niejeden, że i pani niezupełnie się godzi ze sferą co ją otacza. Czy mógłbym, korzystając ze słońca majowego i zapachu łąki, zapytać panią po raz pierwszy i po prostu, co też pani robi?

— Ja? Trochę gospodaruję oju, myślę o swoim stroju, trochę uczę Stefcię. Zresztą rozpatruję się w przeszłości jak umiem, z bożą pomocą rozplątać sobie gmatwaninę teraźniejszości, a jak się czasem nabiędzie, to wierzę że ból i praca są dla przyszłości.

— I pracy, obowiązku, poświęcenia, niczem pani nie przeplata, programu tego w niczem pani nie zmienia, i to pani wystarcza?

— Nie wiem czy jest kto na świecie, co by nie miał chwil niesmaku, zniechęcenia lub tęsknoty. Nie myślę też pana przekonywać że ja ich nie miewam.

— Cóż pani wtedy robi?

— Głuszę je pracą, a jak nie mogę pracować, to czekam aż przemina.

— Pani jakieś cudowne własności przypisuje pracy. Ja zaś znam tylko pracę taką, co myśl zabija, albo pracę myśli, wśród której znowu odnajduję siebie, siebie z niezaspokojonym pragnieniem, z rozdrażnioną tęsknotą. Ja na przykład piszę kilka godzin uswego zwierznika, i wtedy jestem maszyną; potem parę godzin u siebie czytam i piszę, i wtedy natrafiam na własne słabości, niedostatki i żądze, albo chwilo-wo podnoszę się na takie wysokości w towarzystwie geniuszów, że mi potem jeszcze przykrzejsze, jeszcze boleśniejsze zetknięcie z rzeczywistością.

— Wolno panu wskazać przyczynę tego?

— Proszę, bardzo proszę pani.

— Tak... gruntownej, pierwszej przyczyny trzeba by szukać bardzo daleko, u źródła wszystkiego złego. Dziś może głównym będzie powodem: karmienie i podsyćanie wyłączne imaginacyi. Może pracą późniejszą nie byłoby niepodobieństwem naprawić trochę to konieczne w kierunku umysłowym zwichnięcia.

— Proszę pani, proszę o ciąg dalszy. Niech mi pani wierzy, że jest cały szereg pojęć i wyobrażeń, które dopiero znajomość z panią rozbudziła czy przypomniała we mnie. Strony obywatelskiej nikt nie poruszył mi w duszy. Są rzeczywiście uczucia, które z natchnienia kobiet najłatwiej na gruncie serc naszych się przyjmują. Będę dziś zupełnie otwarty z panią. Matka nasza siostrę i mnie wychowała w całkiem innej sferze. Pani nie ma pojęcia, jak człowiekowi oplatanemu z dzieciństwa w tysiące fałszów, trudno jest dobić się promyka prawdy.

Tu istotnie musimy się wstydić za Annę, że ją wzruszyła i ujęła ta tkliwa skarga, że się nią przekupiła dała na nieskończony zapas pobłażania. Oboje po trosze byli w fałszu, on że się skarżył, ona że się litowała. Pan Kaźmirz, dla rozbudzenia współczucia w tkliwem sercu kobięciem, wspominał że go mama i guwernantka w dzieciństwie cukierkami i francuszczyzną pasły; że mu w domu mówiono o rzeczach małych, a ukrywano wielkie; że miał ciotkę u której *bon mot* przeważało zasługę zanego czynu; że miał wujaszka, który dobre maniery nad wszystko cenil. To wszystko pamiętał i przypominał przed Anną Kaźmirz. Ale nie pamiętał i nie przypominał ile razy później prawda zapukała do serca jego; ile razy mu zesła słońcem, nietylko promykami, a on przed słońcem oczy zmrużył; ile razy świat inny gościnie otwierał mu wrota, a on, zajązawszy weń trzwożliwie, wracał oddychać swobodnie w atmosferze elegancji, dobrego tonu, konwensu. Wstydy się za Annę, że się złudził dała; kto jest bez grzechu, niech rzuci pierwszy kamień na nią.

Pan Kaźmirz, wróciwszy, zastał list od siostry, a list był następującej treści:

„Zaniedbujesz mnie zupełnie, mój drogi Kaziu; ani przyjeżdżasz, ani piszesz. Pan Stanisław mi mówił, żeś się zrobił bardzo poważny i melancholizny. Mówił że panna Anna mięwa jakieś prelekcyje, na które uczęszczasz. Niezupełnie ja wprawdzie temu wierzę, ale znalazłam Annę nieznosną pedantką, a ciebie mam za marzyciela; zawsze mi to niemiło *que l'on débite sur ton compte des histoires, qui finiront par te rendre ridicule*. A teraz, kiedy ci powiedziałam *tous mes griefs*, przystępuję do najważniejszej części mego listu, do prośby której nie odmówisz, bo to podobno pierwsza, odkaż za mąż poszłam. Oto przyjeżdż do Bolanowa na tydzień przed św. Zofią. Mój mąż mi gotuje niespodziankę; ale ponieważ biorę w niej udział, musiałam się o nią dowiedzieć. Mam grać „Śluby panieńskie.” Role rozdane: ja gram Klarę, Helenka, moja uroczą sąsiadka, Anielę, jej brat Henryk stryjka, Ludwik poeciwy podejmuje się roli Jana, ty zaś przywieź pana Gustawa, ale na Albina, bo roli Gustawa nie dam nikomu tylko tobie, i jeżeli nie przyjeżdżesz, popsujesz mi całą uciechę, a zarazem skompromitujesz mnie przed Helenką, której opisuję cię zawsze jako najlepszego brata. Odpisz mi natychmiast. Konie wysłemy w niedzielę. Gdybyś mi odmówił, nigdybym ci nie przebaczyła. Pamiętaj że to pierwsza moja prośba do ciebie, odkaż dom rodzicielski opuściłam. Listu oczekuję w sobotę, a ciebie w niedzielę. Uściskam cię pierwszy raz w moim domu. Sophie.

V.

Po majówce, na której się pan Kaźmirz dobrze bawił, teatr amatorski, na którym się jeszcze lepiej bawi.

Że pan Kaźmirz nie odmówił tak nalegającej prośbie siostry, tego łatwo się domyslić. Spełnienie jej poleceń cały czas do wyjazdu mu zajęło. Musiał być kilka razy u Gustawa, wystarać się komedyi Fredry, poduczyć się trochę roli. Wśród tego zaprzątnięcia ledwie na chwilę wbiegł do pana radcy, oznajmić Annie że wyjeżdża na wieś. Gdy biegł ze schodów po pożegnaniu, jakieś niewytłumaczone uczucie tęsknoty serce mu ścisnęło, jakieś chęci, pragnienia, zamiary w niewyraźnych kształtach płatać mu się zaczęły przed myślą. W wyobraźni przesunęło się kilka jakichś postaci lekkich, wdzięcznych, z piętnem dystynkcji wyższego świata, ale z uśmiechem i wyrazem oczu Anny. Oczy te patrzyły długo, łagodnie, smętnie i... wreszcie gdzieś znikły za mgłą, a ze mgły nowe a różne potworzyły się kształty.

Tak całą drogę z niemi przebył Kaźmirz, a przebył ją samotnie, bo Gustaw przyrzekł przyjechać dopiero w dni parę. Nie gniewał się Kaźmirz o tę samotność, wiemy już bowiem od niego samego, że ją lubił czasem. Jakoż pogodny dzień wiosenny, słońce majowe, zapach wierzby przydrożnych, jednostajny ruch wolancika, w którym siedział wygodnie, wszystko to złożyło mu się na błogi stan półsennej marzenia, którym *delektował* się wielce. Kontent był że jako akompaniament do harmonii wiosennej co go otaczała, poczuwał w sobie *ce vague, cet indéfini*, jak sam sobie w myśli nazywał. Wywioził z sobą cały zasób gotowych wrażeń, kiedyś już gdzieś odczytanych, a w wyobraźni odczuty, które mu usłużną pamięć co chwila podsuwała. On też w nich tonął i lubował się. I pola, łąki, lasy które przejeżdżał, nie przemówiły do niego świeżym, ojczystym językiem, a raczej on go już nie słyszał i zrozumieć nie mógł. Wszystko mu się rysowało pejzażem, romansem, sielanką, wszystko miało jakiś odpowiedni ustęp w jakimś poemacie lub powieści, wszystko spiewało pieśń *mitości*, której... poszukajcie: Dumas stronnica 104, Balzac 105, Feuillet 106, (nie zaręczam czy mnie pamiętać nie myli.)

Taki rozkołysany, rozbujany, rozmarzony, stanął pan Kaźmirz przed gankiem bolanowskiego pałacyku. Pod gustownie urządzoną *werandą* zastał całe towarzystwo. Siostra, uradowana wstępnym tryumfem, a pieszcząc w myśli dalsze zamiary, przyjęła go serdecznie i radośnie. Pan Ludwik poszedł za jej przykładem. Helenka tego dnia była śliczna: miała lekką, bladoróżową sukienkę, a gdy przed chwilą chodziła po ogrodzie, pani Ludwikowa od niechcenia a z gracyą wpięła jej w ciemne warkoczki dwa świeże, wonne hiacenty.

Właśnie przed chwilą pani Ludwikowa, zniecierpliwiona i niespokojna trochę że Kazia nie widać, wróciła z ogrodu i kazała podać kawę. Stało całe świeże, eleganckie zastawienie; świeciło srebro, błyszcząca porcelana; dwóch lokajów, śledzących spojrzenia pani, uwijało się na palcach. Dla pań wyniesiono aksamitne fotele, na których tle ciemnym ślicznie odbijały jasne postacie, zwłaszcza Helenki twarzyczka

blada i rączki przezroczyściej białości, na poręczach wysłanych wsparte. Wśród zapachu bzów rozkwitłych, delikatne powonienie Kaźmirza rokosznie odróżniało woń wysmienitych hawańskich cygar, jakich już dawno nie palił, a jakimi poczęstował go natychmiast uprzejmy szwagier.

Pani Zofia, rada że przed bratem popisać się może domem postawionym na eleganckiej stopie, dystygowanymi gośćmi, będącymi z nią poufale, przed gośćmi zaś bratem z Warszawy, mającym taką *turniurę*, rozmawiającym tak przyjemnie, będącym tak *à son aise* w towarzystwie na wpół arystokratycznym, pani Zofia, rada z tego wszystkiego i z innych jeszcze, sobie tylko wiadomych rzeczy, promieniająca radością, ze szczególnym wdziękiem *animowała* towarzystwo, które się też *zaanimowało* rzeczywiście. Nawet blada, apatyczna Helenka, z zajęciem słuchała pana Kaźmirza, który zupełnie inny miał rodzaj konwersacji, niż pan Ludwik, pan Konstanty, a nawet pan Stanisław. Tamtych frazesy naprzód prawie odgadywała i od razu nieledwie wiedziała co który powie. Kaźmirz przeciwnie, ujrany po raz pierwszy, w niekonwencyonalnym, ale eleganckim podróżnym ubraniu, nastrojony drogą na ton poetyczny, rozserdecznie przywitaniem siostry, Kaźmirz z początku zadziwił, później zajął ją swymi niespodziewanymi zwrotami, swoją rozmową, w której nie głębokie, ale niekłamane drgało życie. I oczy jej nabrały blasku, i delikatne rumieńce od czasu do czasu ożywiały bladą cerę, i wzrok przychylny kiedy niekiedy podnosiła na Kaźmirza; a Kaźmirz miał tę właściwość, że pod wzrokiem pięknej kobiety nabywał *zdobywczej siły*.

Tout va bien, myślała sobie ciągle w duszy pani Ludwikowa, i nie puściła Helenki z Henrykiem, póki nie ułożyła że do końca tygodnia codziennie będą próby teatru, raz w Boleńowie, raz w Sekowicach, dokąd Henryk uprzejmie Kaźmirza zaprosił.

Do czego to jeden megaloman prowadził Hrabianka C., matka Henryka i Helenki, wychodząc za beztytułowego szlachcica, była powodem wszystkich niekonsekwencji. Ścisłe bowiem rzeczy biorąc, pani Ludwikowa już przebojem nieco dostała się w to towarzystwo, a że miłość cuda sprawia, jej przeto miłość braterska cudem wciągnęła w nie pana Kaźmirza, który jeszcze mniej miał do niego prawa. A dlaczego pani Ludwikowa miała prawa niewielkie, a jej brat jeszcze mniejsze, zaraz powiemy. Oto pani Zofia i pan Kaźmirz byli po prostu dziećmi prawnika, który prowadząc interesy wielkich panów, ożenił się z jakąś daleką kądzielą z nich kuzynką. Ze Zosia chowała się u rodziny matki, że jakaś ciocia, a jej chrzestna matka, zapisała jej sto tysięcy, że poszła za majątnego obywatela, niewątpliwie więc stała bliżej owej wyśokiej sfery, niż brat, który pozostawszy bez majątku, zmuszony stwarzać sobie karierę, pod siostry tylko opiekunem skrzydłem mógł się wzniesić ku niej.

Zaproszenie więc pana Kaźmirza, syna adwokata, przez pana Henryka, syna obywatela i potomka hrabiowskiego, choć po kądzieli, było rzeczywiście niekonsekwencją, a raczej konsekwencją tego, że matka Helenki była kobietą słabą, bez woli i zdania; że pan Henryk, znając na wsi jedną tylko *dystygowaną* kobietę, panią Ludwikową, pobożającym był i nie wglądał ściśle w genealogię, i że pani Ludwikowa ze swego położenia umiała wyciągać wszystkie możliwe korzyści. Jakoś w pierwszej chwili, prócz pani Ludwikowej, nikt nie przewidywał dalszych konsekwencji tej niekonsekwencji.

Tymczasem Helenkę próby bawiły bardzo. Dotąd nic w życiu tak jej nie zajęło, jak ów teatr amatorski. Każdy dzień miał swój cel: wieczorną próbę, a w dalszej perspektywie świetniejszy cel: przedstawienie. A dalej... Z początku Helenka nie patrzyła dalej.

Trudno było lepiej wybrać komedję, rozdać role odpowiednio celowi, jak to zrobiła pani Ludwikowa. Po ostatniej próbie, w której Kaźmirz ze szczególnym ogniem i prawdą oddał swoją rolę, Helenka ze spazmatycznym płaczem rzuciła się na szyję Zofii. Ta zaś tak ją utulić, uspokoić potrafiła, że nazajutrz przedstawienie poszło świetnie, publiczność była zachwyconą, Helenka uroczą w roli Anieli, a pan Kaźmirz głowę stracił.

Odurzony, jak zawsze chwilowym wrażeniem całym owładnięty, po skończonym teatrze wybiegł się ochłodzić do ogrodu. Na ławce zastał siostrę, na której ramieniu Helenka rozpaloną trzymała głowę. Chciał się cofnąć; lecz kiedy pani Ludwikowa wyciągnęła do niego rękę, ujął ją i uściśnął gorąckowo. Helenka zmieszana wstała; pani Ludwikowa podniosła się także, lecz zatrzymała się chwilę, szukając chusteczki na ławce. Wtedy Kaźmirz, zbliżywszy się do Helenki, drżącym zapytał głosem:

— A gdybym w mojej własnej osobie powtórzył pani to, co przed chwilą w roli Gustawa mówił, nie poczytałaby mnie pani za waryata?

— Nie,.... ledwie dosłyszany szepnęła głosem Helenka i ku pani Ludwikowej się rzuciła.

Ta utuliła ją troskliwie i zaniosła prawie do pokoju, szepnąwszy bratu: „Resztę mnie zostaw.“

Pan Henryk mocno się zirytował, dowiedziawszy się jaki obrót rzeczy biorą, a przeniknąwszy nareszcie ze wszystkiemu winna przebiegłość pani Ludwikowej, widząc że kaprys Helenki coraz groźniejsze przybiera rozmiary, coraz częściej, z coraz większym gniewem powtarzał swoje: „Oj te kobiety! te kobiety!“

Matka płakała; ale że Helenka płakała jeszcze więcej, że miewała usta spalane gorączką i codziennie nerwowe ataki, więc mimo chwilowego oziębienia stosunków z panią Ludwikową, nie było innej rady, jak zesłukać je na nowo, Kaźmirza, który na Zielone Świątki do siostry przyjechał, zaprosić, oświadczyć jego formalne przyjęcie i zająć się wyprawą.

Po wyprawę pojechały panie do Warszawy. Pan Kaźmirz całe dnie „bywał na służbie“, chodząc po sklepach, towarzyszył na przechadzkach, kupował łóżko do teatru, naturalnie na pierwsze piętro. Podając lursowskie cukierki swojej pięknej narzeczonej, tryumfujące na parterze rzucał spojrzenia. Wyszowano mu, zazdrościono... był szczęśliwy!

Wprawdzie hrabiowska matka rodzina nie uznała go i nie była na ślubie. Ale cóż robić? Obszedł się bez jej uznania i ożenił się z Helenką, ich krewną, chociaż po kądzieli.

Pan Henryk tylko od tego czasu ostygł bardzo w swęj admiracji dla pani Ludwikowej. Przeniósł ją na panią Konstantową, następnie na panią Stanisławową. Jak mógł słodził sobie nudy i kłopoty wiejskiego życia. Aż z nudów ożenił się tak, że mógł posagiem żony spłacić Helenkę, a sam utrzymać się przy Sekowicach, i pędził dalej obywatelski żywot.

Po przyjętej deklaracji, Kaźmirz odwiedził Annę i oznajmił jej o swoim *szczęściu*, malując je w takich barwach, w jakich je wówczas widział. Anna znów uwierzyła. Ale kiedy po ślubie przyszli z wizytą, kiedy Anna zobaczyła Helenkę, przeczuła od razu, że ten wiotki kwiatek, w życie Kaźmirza wpleciony, za ledwie trochę mu barwy i woni użyczy, a zresztą *niczem* mu w drodze żywota nie będzie.

I miała kilka chwil ciężkich po tej *wizycie*, a potem... gospodarowała ojcu, uczyła Stefcię, z bożą pomocą rozplątywała gmatwaninę teraźniejszości; wierzyła że ból i praca dla przyszłości. Kaźmirzów straciła z oczu, bo nabyli majątek i przenieśli się na wieś. My jeszcze do nich zajrzymy. (Dalszy c. nast.)

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

M U Z Y K A.

Hajdea. — Dreischok. — Lotto. — Nowe nakłady Gustawa Sennewalda.

Miesiąc zeszły był dosyć obfitym w skutki dla muzykalności naszego miasta. Na scenie Wielkiego teatru ukazały się dwie opery: jedna oryginalna Moniuszki, o której donosiliśmy w swoim czasie, druga wznowiona, pod tytułem *Hajdea*, utwór dwóch znakomitych talentów: Scribego i Aubera. Sprawiedliwość nakazuje także oddać należne pochwały reżyserii i artystom teatru Wielkiego, za niezwykłą czynność, jaką rozwijają w celu wzbogacenia repertuaru świeżymi i pełnymi zalet utworami. *Hajdea*, jest to opera niby komiczna, dlatego iż autorowie ułożyli ją dla teatru tego nazwania w Paryżu, i jak wszystkie w podobnym rodzaju sztuki, obok muzyki lekkiej, lub poważnej na przemiany, zawiera w sobie niemało prozy, którą obecnie u nas Moniuszko zamienił zrecznie na recytatiwa miarowe. Nie jesteśmy zwolennikami dowolnego przekształcania pierwowzoru; ale dla artystów ma ono swoją dobrą stronę, bo uwalnia ich od kłopotliwej zawsze deklamacji scenicznej, ułatwiając tym samym możność dokładniejszego wywiązania się wokalnego z ról im powierzonych.

Przejdźmy teraz do koncertów pp. Dreischoka i Lotta.

Dreischok przybył do nas po raz pierwszy przed dwudziestu laty, w chwili właśnie, gdy świetne niegdyś gwiazdy, a dziś strasznie już przyćmione, w całej pełni blasku przyświecały na horyzoncie muzyki fortepianowej; kiedy zjawienie się Thalberga, albo Liszta na estradzie koncertowej, uważano było za rzecz niesłychanej wagi, budzącą ogromne w tłumie licznych zwolenników ich talentu zajęcie. Młody natenczas artysta Dreischok, był już w stanie utrzymać się obok owych straszliwych współzapaśników, wzbudzając wszę-

dzie nadzwyczajnym swoim mechanizmem podziw pomiędzy słuchaczami. Obecnie talent jego wzmógł się jeszcze w artystyczne zasoby, dojrzał w estetycznej stronie wykonania, i pomimo zmiany czasów i wyobrażeń o wirtuozach, przecież nie brakło mu słuchaczy, nie brakło dowodów uznania. Tylko że przyjaciele tego fortepianisty niepotrzebnie przesadzali w opisach: prawili wciąż o jakimś zapale publiczności, przy słuchającej się niby z uniesieniem grze jego na czterech koncertach, jakie dał w ciągu zeszłego miesiąca; gdy tymczasem my, cośmy także żadnego z nich nie opuścili, nie mogliśmy wcale dostrzedz owego *zapalu*, a mówiąc prawdę, gra Dreischoka w żadnym razie wzbudzić go nie mogła, bo jest zimną, wyrachowaną, spokojną, bo artyście więcej idzie o sumienne wykonanie dzieła, aniżeli o błyszczenie i olśniewanie słuchaczy zasobami swego niesłychanie potężnego mechanizmu. Wprawdzie nie jest on zupełnie od tego wolnym, owszem, rad niekiedy wzbudzić w nich podziwienie, ale używa ku temu środków niezręcznych, to jest własnych kompozycji, pozbawionych głębokości i wspaniałości pomysłów, piękności idei i formy. Gdzie więc powód do uniesienia, do *zapalu*? Silnie grzmące passáže, oktawy, trylle i t. p., jeżeli ich nie ozdabia i nie wiąże w jedno piękności ogniwo myśli pełna wzniosłego i gorącego natchnienia, pozostaną zawsze tępem, czem być powinny, pustymi i bezdusznymi biegnikami, a ów nieszczęsny popis lewej ręki w wariacjach osnutych na tle hymnu angielskiego, na nas przynajmniej bardzo niemiłe uczynił wrażenie. Po co tu udawać kalękę i grać konieczną jedną ręką, kiedy dwiema nierównie piękniej i dokładniej to samo zagrać można? poco naginać sztukę do celów tak płytkich i tak mizernego użytku? W salonie mogłoby się to wydać jako tako; na publicznym zaś koncercie wirtuoz szanujący siebie i sztukę, nie powinien nigdy uciekać się do podobnych środków. Gdyby zamiast swoich kompozycji, Dreischok był nam więcej dał słyszeć utworów Chopina, a wykonał je z taką precyzją, wykończeniem i zrozumieniem, jak na przykład klasyczne koncerty Mendelsohna, Webera i Beethowena, to *zapalu* wprawdzie nie byłby wywołał, ale nadzwyczaj wielką sprawiłby przyjemność licznyemu zwolennikom prawdziwie dobrej muzyki, którzy tak chętnie słyszeć go zawsze spieszyli.

Utalentowany nasz skrzypek, młody Izidor Lotto, wystąpiwszy ostatni raz w resursie kupieckiej z Dreischokiem, udał się w artystyczną podróż do Niemiec, gdzie mamy nadzieję, czeka go powodzenie na jakie ze wszech miar zasługuje.

Chcieliśmy już zamknąć naszą kroniczkę położeniem początkowych liter autorskich, aż tu przynoszą nam paczkę z nowymi nakładami Gustawa Sennewalda. W dzisiejszych czasach powszechniej księgarskiej stagnacji, z tym większą ochotą zajmujemy się ich przejrzeniem, im rzadszemi stają się w ogólności poważniejsze nakłady literackie, i muzykalne także. Gdyby szło o polki, mazurki, kontredanse i t. p. efemeryczne i bez istotnej artystycznej wartości zjawiska, nie śmielibyśmy zabierać nimi miejsca w *Tygodniku*; ale tym razem rzecz się ma zupełnie inaczej. P. Sennewald, wchodząc w potrzeby ogółu, przysłużył mu się nakładami poważniejszej treści, nie chwilowego i pobieżnego, lecz trwałego bez wątpienia użytku. Na pierwszym planie kładziemy *Szkółę śpiewu na głos sopranowy i mezo-sopranowy, ułożoną przez Wilhelma Troschla*. Imię tego artysty, zasłużone w dziejach sceny naszej krajowej, jego wieloletnie doświadczenie jako śpiewaka i nauczyciela, jest niemałą już rękojmią wewnętrznąj wartości dzieła. W sześćdziesięciu pięciu ćwiczeniach, służących do uformowania i wyrobienia głosu tak sopranowego, jako i mezo-sopranowego, ucząca się młodzież znajdzie wszystko, co tylko potrzebnem być może do gruntownego poznania nauki śpiewu. Śmiało więc polecamy powyższą *szkołę* Troschla, w przekonaniu, że ci co pójdą wskazaną w niej przez autora drogą, w nadziejach swoich zawiedzionymi nie będą.

Maleńka ale miła piosneczka Augusta Radwana, do słów Jana Chęcińskiego, pod tytułem: *We śnie i na jawie*, tak muzyką, jako i tekstem zdaje się być przeznaczoną na zajęcie nieposledniego miejsca w salonach amatorów, lubiących zajmować się rodzinnymi pieśniami. Dla nich to Sennewald nie szczędził nakładu na wydanie ostatniej operetki Moniuszki: *Verbum nobile*, najprzód w układzie na sam fortepian, z dodaniem przy melodyą słów, tak, ażeby grający mieli zarazem przyjemność śledzenia dramatycznego jej znaczenia, a potem w osobnych na śpiew numerach, których całkowity zbiór stanowi już niejako partyturę tej pięknej i niezmiernie udatnej operetki. Przestliczny polonez z oracyjnym wstępem, pana Marcina, wyszedł także w osobnym wydaniu.

DONIESIENIA.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH G. GEBETHNER I R. WOLFF

w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście nr 415 w pałacu hr. St. Potockiego wyszły nowości muzyczne:
Einert T. Kontredanse z ulubionych tematów opery Hrabina St. Moniuszki. Cena 37 i pół k.
Szpanowski Fr. Neptun: Kadrylle na fortepian z opery Hrabina St. Moniuszki. Cena 37 i pół k.

SAKŁD NUT

GUSTAWA SENNEWALD

przy ulicy Miodowej pod nrem 481j2

nabywszy na własność operę **St. Moniuszki**, *Verbum Nobile*, wydał z tejże następujące numery do śpiewu, z towarzyszeniem fortepianu jako to: 1. *Serenada wiejska* kop. 30. 2. *Arioso Serwacego* kop. 22 i pół. 3. *Piosenka Bartłomieja* kop. 45. 4. *Pieśń Stanisława* kop. 30. 5. *Duetino* (drugi głos dowolnie) kop. 52 i pół. 6. *Pieśń o Verbum nobile* kop. 22 i pół. 7. *Dumka Zuzi* kop. 37 i pół. 8. *Oracya Pana Marcina* (Polonez) kop. 45. 9. *Zakończenie* kop. 30. Wszystkie te numery pisane są kluczem dyskan-towym i śpiewane mogą być przez Mezzo Sopran lub Baryton. Dalej: „Kompletny wyciąg fortepianowy z tejże opery“ ułożony przez Kompozitora. Cena Rs. 3. Oprócz tego, dla uczynienia ceny przystępniejszej nabywającym, „wszystkie numery do śpiewu złączymy je w jeden zeszyt poprzedzimy uwerturą,“ — co stanowi rodzaj partytury. Cena Rs. 3. Zdaje się iż Szanowna publiczność raczy laskawie przyjąć tę publikację, do czego piękne wydanie i przystępne ceny nie mały powinny być zachętą. Wszystkie te muzykalia nabyć można w znaczniejszych składach muzycznych w Warszawie i na prowincyi.

Karola Szajnoch JADWIGA I JAGIELLO.

Opowiada historie historyczne. Wydanie 2gie przerobione i pomnożone przez autora, wydanie jego własnym nakładem. Tom 1szy opuścił się w Lwowie niezawodnie w pierwszych dniach lutego r. b. Prenumerata w Królestwie i Cesarstwie wynosi na całe dzieło na papierze zwyczajnym rs. 6, na papierze piękniejszym rs. 7. Dolicząc do tego na koszt przesyłki, od jednego egzemplarza całkowitego do Warszawy, po kop. 50 do Cesarstwa i wszędzie na prowincyi po rs. 1. Księgarnia podpisane umocowana została przez autora do udzielania biletów prenumeracyjnych i ekspedycyowania dzieła tego PP. księgarzom w Królestwie i Cesarstwie, oraz do zbierania

prenumeraty od osób prywatnych. Przyjmują także prenumeratę: księgarnia A. Dzwonkowskiego i Sp. w Warszawie, Zawadzkiego w Wilnie, Walickiego w Mińsku litewskim, Hussarowskiego w Żytomierzu, Kocipińskiego w Kijowie, u osób ku temu uproszonych, w Petersburgu, oraz u wszystkich księgarzy którzyby się w bilety prenumeracyjne zaopatrzyć zechcieli. PP. księgarze życzący przyjmować prenumeratę, zechcą się zgłaszać do mnie lub do księgarni A. Dzwonkowskiego i Sp. w Warszawie, o udzielenie im biletów prenumeracyjnych. Bilety wydają się oryginalne, wprost od autora nadesłane. Przy sprzedaży prenumeratom winien być każdy bilet podpisem zbierającego prenumeratę zaopatrzone. Albowiem

dzielo jedynie u tej osoby, która bilet sprzedała, wydanem prenumeratorem zostanie. Upraszam się PP. zbierających prenumeratę, o nadsyłanie wraz z należnością prenumeracyjną listy prenumeratorów, która dla kontroli wydrukowaną będzie przy dziele.

Cels Lewicki.

Ulica Leszno nr 717 i 18 w lokalu tymczasowym.

Hygiena kobiet i dzieci, dzieło poświęcone „Matkom Polskim“ wychodzące zeszytami, potocznie opowiedziane przez Dra K. Gregorowicza; nabyć można we wszystkich stacjach pocztowych w Królestwie za opłatą roczną rs. 4 kop. 70 (opłata być może półrocz-

na lub kwartalna). Zeszyty są dwuarkuszowe i wychodzą 2 razy na miesiąc. Wyszli z druku Zeszyt 1szy i IIgi Tomu 1go.

W nowo utworzonej księgarni
ALEKSANDRA LEWIŃSKIEGO
przy ulicy Miodowej pod filarami,
wyszli z druku

OPIS KRÓLESTWA POLSKIEGO

pod względem geografii, statystyki i historii przez **Stanisława Miłkowskiego** i jest do nabycia we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi. Cena kop. 75. Skład główny w tejże księgarni.



SKŁAD HERBATY

WSIEWOŁODA ISTOMINA

ZAWIADOMIENIE.

Przy coraz więcej upowszechniając się używaniu w kraju tutejszym herbaty, której odbył ze składu mego powiększa się z każdym rokiem, zamierzylem skutecznie w czasie bieżącego lata wycieczkę do tych miejsc, gdzie mieszkają główni pośrednicy hurtownego handlu herbaty, i od nich zakupilem herbatę F u c z a ń s k ą, z ostatniej wymiany. Tu winienem napomknąć, że sprowadza się także z prowincyi Szan-gajskich herbaty kwiecista, drogą morską do portu St. Petersburgskiego, wymieniania przez Kompanię Amerykańską. Chociaż pozorem swoim ta herbata nęci kupującego, ale co do smaku znacznie jest niższą, od gatunków czarnych Fuczańskich.

Nazwiska gatunkowe herbaty znane są tylko handlującym z Kiachtą; ogłaszane zaś w cennikach innych kupców nazwy gatunków zupełnie są dowolne. Wartość herbaty zależy od miejscowości i urodzaju. Niniejszy mój cennik ułożyłem jedynie na zasadzie rozgatkowania dopełnionego w Kiachcie, z pomiędzy uznanych za najlepsze gatunków herbaty, przy ostatniej wymianie.

CENNIK HERBATY FUCZAŃSKIEJ

sprowadzanej lądem przez Rosyję i przedawanej podług cen stałych w Magazynie Poczestnego Obywatela W. M. ISTOMINA, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu przechodnim Rezlera pod Nr 451, w Warszawie.

HERBATA CZARNA.		HERBATA KWIECISTA.	
San-sinka-Tian-czeju	za funt Rsr. 1 kop. 50	Ju-taj-czo i inne rodzaje	za funt Rsr. 3 kop. —
Familijna-Sin-tun-taj	— 1 — 80	Szy-tucha	— 3 — 60
Chumy Myjutan Tasinaj i inne gatunki	— 2 — 25	Cha-szen-czu-an bukie t	— 4 — —
Chumy czerwony Kofyn-ju-an	— 2 — 25	Liansin Wan-sun-czo	— 5 — —
Chumy błękitny Scho-dzun	— 2 — 50	Liansin Sin-la-jun, aromatyczny	— 6 — —
(dla amatorów)			

Osoby życzące mieć sobie dostarczoną herbatę z mego magazynu przez pocztę, nie za przesyłkę nie placą, lecz opłacając za przesłanie pieniędzy, tak w Królestwie jak i w Cesarstwie. — Nie obiecuje, jak inni handlujący herbatą, odstępować procent i dodawać rabatu, ale natomiast przedawać będzie towar sumiennie za dobroć gatunku zaręczam. — Dla osób zamieszkałych na prowincyi starannie będę wysyłać herbatę przez pierwszą odchodzącą pocztę, upakowawszy w mocne skrzynki, dla zabezpieczenia od uszkodzenia w drodze. — Dla kupujących całemi cybikami, herbata dostarczona będzie zupełnie w takim samym stanie, w jakim odebrana została z Chin. — Osobom zamieszkałym na prowincyi, herbatę na Rsr. 1 kop. 50 i na Rsr. 1 kop. 80, magazyn nie odsyła franco, lecz na koszt wypisującego. Upraszam się o wyraźne wypisywanie swego adresu i miejsca pobytu. — Herbata wydaje się z mego magazynu w paczkach jedno-funtowych, pół-funtowych i ćwierć-funtowych, opatrzonej stemplem wyciśniętym na ołowiu, a cena i waga herbaty wydrukowana jest na samej paczce.

Poczestny obywatel **Wsiewołod syn Maryma Istomin.**

A IMIE PANNY MARYA.

W Imię Boga, w Imię Trójcy Przenajświętszej Ojca, Syna i Ducha Sgo, zaczynam tę moją odezwę do Was naimili w Chrystusie i Sercu Maryi, Siostry i Bracia, chcąc powinszować Nowego Rokn wszystkim dobroczyńcom moim, którzy wspierali mnie swemi ofiarami w ciągu zeszłego roku; ale cóż Wam Najmili, nieudolnym mym piórem życzyć potrafię? Chyba tego co wszystkim jest najmilszym i najpożądalszym, to jest zdrowia, długiego życia, i we wszystkim błogosławienia Boga, i Matki Jego Najświętszej. Oby Bog błogosławił Wam raczył, we wszystkich potrzebach i zamysłach duchownych i materyalnych; ile Wy, przesyłając wasze ofiary, byliście mi pomocą do wzniesienia Świątyni na Cześć Najśłodszej i Namiłosierniejszego Serca Maryi, tyle Bóg niech zesle na Was wszelkich pociech, — niech się ziszczą życzenia Wasze, niech błogosławieństwo Boga spłyne na domy i całe Rodziny Wasze, na pola, łąki, stodoły, i zagrody Wasze, jednym słowem cokolwiek od Boga sobie życzyć w tém życiu i przyszłym niech się Wam stanie, za przyczyną Matki Bożej, na tem miejscu cudami słynącej, o co kilkakrotnie dziennie błagamy Najwyższego, z całem ubogiem Zgromadzeniem naszym i sierotami, i wiecznemi czasy błagać nie przestajemy. Dzięki niech będą, dzięki Najwyższemu Bogu, i wszystkim ofiarodawcom, że już mury kościelne i jedna trzecia część klasztoru są wyprowadzone i pokryte blachą angielską, reszta zaś murów kościelnych jeszcze nawet nie zaczęta; na to mam trochę wywiezionych kamieni i parę set korcy wapna, ale to wszystko w stosunku kompletnego wykończenia tej budowy, ledwo czwartą część potrzebnego funduszu stanowi, bo wiadomo wszystkim; że zamknięcie domu więcej kosztuje, aniżeli mury, a cóż dopiero we-

wnętrzne urządzenie kścioła, ołtarze, ławki, chór, organy i różne inne ozdoby. Przeto Kochani Bracia i Siostry, kończcie to dzieło, któreście tak gorliwie zaczęli. Wasze to dzieło, nie moje. Bóg jest tu Rządcą, a Wy fundatorami i kassyerami, Wam to będzie honor i sława, Wasze Imiona będą zapisane w księgi żywota wiecznego i w aktach Zgromadzenia Naszego; ja zaś jestem tylko Stróżem tej fabryki, a Waszą sługą, bezpłatną a wierną, a jeżeli Boska Opatrzność dopomóż mi, przez Was kochani Bracia i Siostry, to za rok budowa ta całkowicie ukończoną być może. Szanowni Artyści sztuki Malarskiej m. Warszawy, podjęli się zrobić w ofierze do 4ch Ołtarzy obrazy, a mianowicie: 1) Obraz Namiłosierniejszego Serca Maryi. 2) ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła. 3) Sgo Stanisława. 4) Przemienienie Pańskie. Ponieważ zaś 5ty Ołtarz ma być w oknie, potrzebna jest do niego Statua Sgo Józefa z Dzieciątkiem Jezus, której dotąd nikt jeszcze zrobić się nie podjął.

Proszę Was więc i błagam przez miłość Maryi przybywajcie mi z pomocą, żebyśmy mogli dokończyć to, cośmy zaczęli na cześć i chwałę Boga i Matki Jego Najświętszej, co daj dobry Boże! Amen.

Częstochowa dnia 31 Grudnia 1860 roku.

Sługa sług Maryi

Paulina Jellec.

Podaje się także do publicznej wiadomości, że w poczynającym się roku, również jak i w zeszłym żadna z Siost Zgromadzenia Maryawitek w Częstochowie, nie wyjedzie na kwesę. Oczekiwać będę w domu Opatrzności Boskiej.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

W drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 28 stycznia (9 lutego) 1861 r. — Starszy cenzor, F. Sobieszczański.

Redakcyja przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu PP. Wizytek Nr. 391.